

Przewodnik Katolicki

Ilustrowany tygodnik dla rodzin katolickich - Redaktor założyciel X. Józef Kłos, redaktor nacz. X. Fr. Forecki



Ś. p. Ks. Stanisław Streich

proboszcz w Luboniu pod Poznaniem,

zamordowany w kościele strzałami miejscowego komunisty, Wawrzyńca Nowaka, w niedzielę 27 lutego 1938 r. o godz. 10¹/₂ rano, w chwili, gdy po odprawieniu szkolnej Mszy św. wstępował na ambonę, by głosić słowo Boże. (Zob. artykuł na str. 160-162.)

Fot. St. Markiewicz, Poznań.

ołowiu, którym tak swawolnie brata pozabawił życia! Dlatego nie ma w łonie także naszego społeczeństwa miejsca dla tego rodzaju ludzi! Dlatego Pan Bóg tak strasznie piętnuje wszystkich Kainów. Dlatego Opatrzność taki od samego zarania ustaliła porządek na świecie, że grzech taki musi być ukarany natychmiast, czym prędzej, już tu na ziemi, a nie dopiero w przyszłym życiu! Dlatego w owej lubońskiej świątyni ten żywiolowy odruch garstki dorosłych, by natychmiast na miejscu zbrodni zmiażdżyć zbrodniarza jak najzjadliwszą gadzinę!

Ładny mi to ideowiec, który uzbrojony w rewolwer, skrytobójczo rzuca się na bezbronną ofiarę, który za miejsce zbrodni musi obrać sobie świątynię, który czynu ohydneho dokonać musi wówczas, kiedy 98% uczestników Mszy św., to małe nieletnie, niewinne dzieci szkolne! Jak można nazywać ideowcem zbrodniarza, który przed czynem swym poprzednio skrętnie bada boczne, mało używane drzwi, czy aby są otwarte i czy umożliwią mu tchórzliwy odwrót z miejsca zbrodni.

Jak podły to człowiek, który, usiadłszy na stopniach ambony, przez cały czas nawet wobec maleńkich dzieci uważa za potrzebne się maskować; który jedną ręką trzymając ukryty za pazuchą rewolwer, drugą potrafi trzymać książkę do nabożeństwa, udając modlącego się, a przy tym jest tak zdenerwowany, że nawet nie zauważa tego, co spostrzegają jego mali sąsiedzi, iż jest obłudnikiem: litery książki są bowiem w czasie tej „modlitwy” odwrócone do góry nogami.

Może w tej chwili po raz ostatni miłosierdzie Boże pukało do sumienia Wawrzyńca Nowaka; może promienie łaski Bożej po raz ostatni pragnęły przedrzeć twardą skorupę tego okrutnego serca!

Niestety daremnie!

Serce Wawrzyńca Nowaka wypełniała w tej chwili nienawiść, piekielna nienawiść, skoro zbrodniarz uśmierciwszy już kapłana pierwszym strzałem, jeszcze doń przyskakuje i jeszcze pochyla się nad swoją ofiarą i nawet z zadowoleniem na twarzy wymierza doń po raz drugi i po raz trzeci z rewolweru! Wyzute z wszelkich skrupułów było to sumienie, jeśli morderca zamiast oddać się w ręce sprawiedliwości, jeszcze tym samym rewolwerem strzela do biednego kościelnego i do owego maleńkiego ministranta, cierpiących dziś jeszcze w szpitalu!

Nie mówcie tedy, że to był ideowiec! Człowiek, który dnia poprzedniego przy kielbasie i wódce potrafił się chełpić,

że wkrótce wskutek „pewnego wycy-nu” nazwisko jego przejdzie do historii, jest raczej fanfaronem i karierowiczem, pnącym się na modłę prawdziwie bolszewicką po trupach bliźnich do swego celu.

Jeżeli zaś koniecznie chcecie ujrzeć „ideowca”, ja go wam wskażę. Jest nim 9-letni Jurcio Szukalski, ministrant i gorący wielbiciel zamordowanego kapłana! Kiedy po strzałach wszczął się ów straszny popłoch w kościele, kiedy z niesłychanym zgielkiem wszystko rzuciło się do bramy, kiedy zbrodniarz



Ś. p. Ks. prob. Stanisław Streich na katafalku

wskoczywszy na niską ambonę zawołał: niech żyje komuna! Jurcio Szukalski wypadł z zakrystii. Natychmiast porwała go fala pierzchających. Ale tylko na chwilę. Bo doszedłszy do miejsca, na którym w krwi broczył ugodzony kulami kapłan, czym prędzej cofnął się do zakrystii, powyszukiwał szybko przybory do Ostatniego Namaszczenia Olejami św. i trwał wśród owego okropnego zgielku i zamieszania na posterunku tak długo, póki nie wręczył przyborów przywołanemu kapłanowi, by ten bez chwili straty mógł oddać zamordowanemu koledze ostatnią przysługę! Tak mały, a już tak wielki ten Jurcio Szukalski!

Wawrzyniec Nowak to żaden zatem ideowiec. To raczej półmędek, zbalamucony rodak, zaprzaniec narodowej sprawy, zbrodzień, drugi Judasz z Kariothu za 30 srebrników sprzedający „arcykapłanom” bolszewickim swego brata! Choć dla ohydneho jego postępuku nie mamy żadnego wyrozumienia, niemniej przeto jako katolicy gorliwie nawet za niego modlić się będziemy, by jeszcze przed śmiercią czynu swego żałował i znalazł łaskę pojednania się z Bogiem.

Zamordowano kapłana, który był ideałem kapłana. A zamordowano go

jedynie dlatego, że był kapłanem! „Innej winy we mnie nie ma”. Umarł tedy tą samą śmiercią, jaką umierali święci męczennicy, krew swą dający za Jezusa Chrystusa!

Bóg nie każdego dekoruje palmą męczeństwa. Tysiące odrzuca, a jednego tylko wybiera! Wybrał ś. p. księdza Stanisława. A wybrał go dlatego, że godzien był tej łaski i życiem dotychczasowym na męczeństwo sobie zasłużył.

Ś. p. ks. proboszcz Stanisław Streich tak dobrym był pasterzem, że żadne podejrzenie, nawet cień podejrzenia jakiegokolwiek go się nie imał. „Okrutna śmierć męczennicka mogła spotkać także innego kapłana! Innych — mówią parafianie — żałowalibyśmy zapewne także, bo szkoda każdego życia ludzkiego, ale nie opłakiwalibyśmy tak szczerze i tak serdecznie jak naszego ks. Streicha!”

Luboń, to osada podmiejska. Pełno tu nowych domów. Ale domy te po części jeszcze nie wykończone, przeważnie nie otynkowane, dróg dotąd nie wybrukowano; za lat 20 lub 30 będzie to zapewne majątna i piękna dzielnica! Dziś bieda tu straszna i nędza ogólna. W tej biednej parafii, mieszczącej w sobie wiel-

kie zbiorowisko bezrobotnych robotników, wydawano jak w innych parafiach gwiazdkę. Panie ofiarodawczyni protestowały i żądały, by dawać tylko godnym, a nie dawać jej bezbożnikom i komunistom i tym, którzy nawet własnym dzieciom nie pozwalają chodzić do kościoła! „Tym, szanowne panie — mówi ś. p. ksiądz Stanisław — właśnie dawać trzeba przede wszystkim i jak najwięcej, bo kto wie, czy to może nie ostatnia droga, nie ostatni środek do odzyskania ich dla sprawy Bożej!”

Trzeba było w Luboniu budować kościół, gdyż go dotychczas nie było w tej biednej parafii. Ks. proboszcz Streich w tych warunkach dokonywał z budową świątyni prawdziwych cudów. W dwóch latach stanął kościół pod dachem! „Kiedy patrzę na świątynię — mówi mi architekt, który kierował budową — kiedy rozważę sobie tysiąckrotne trudności, na jakie co chwila w tych dwóch latach, zanim stanęła świątynia, napotykał przy budowie, zdaje mi się, że to nie ks. proboszcz Streich, lecz sam Bóg pomagał przy budowie świątyni!”

To tylko kilka uwag, przygodnie podsłuchanych, lecz jakże wymownie świadczą o szlachetnej duszy i o wspaniałej opinii zamordowanego kapłana!

Mówi stare przysłowie chrześcijańskie: Calix vitreus, sacerdos aureus! (Kielich szklany, kapłan złoty). Gdzie

bieda tak wielka, iż nie starczy na szlachetny kruszec dla kielicha ofiarnego, tam serce kapłańskie pełne musi być złota! Ś. p. ks. proboszcz Stanisław miał to złote kapłańskie serce. Był w tych latach, kiedy niejeden ksiądz zaczyna myśleć o pracy spokojniejszej! Może i ks. Streich nieraz o tym myślał. Może i jego nieraz kusiała myśl, by odejść z tego trudnego Lubonia! „Mam ciężko, mówił niedawno do kolegi, bardzo ciężko! Aż żal serce ściska, gdy patrzę na tyle ludzkiej biedy, której usunąć nie mogę, i gdy porównuję swą ubożuchną świątynię w Luboniu z pięknymi kościołami w sąsiedztwie! Ale da Bóg wytrwam i nie sprzeniewierzę się powołaniu!”

Wytrwał do końca! Bóg to wytrwanie nagroził purpurą zwycięstwa! Czyż może być piękniejsze życie i piękniejsza śmierć? Padł jako ofiara tej samej wschodniej nienawiści, która niszczyła tylu kapłanów, której ofiarą był także ów drugi w dziejach narodu polskiego, kapłan polski Andrzej Bobola, którego kanonizację uroczystą przeżywać będziemy za kilka tygodni!

Bolszewicy niesłusznie posługują się młotem i sierpem, jako swymi znakami. Młot i sierp to zasadnicze narzędzia cichej pokojowej pracy na roli i przy warsztacie rzemieślniczym. Narzędzi takich używa każdy, także niebolszewicki robotnik, każdy rolnik, każdy rzemieślnik. Ale bolszewicy są mistrzami kłamstwa i obłudy. Pokój! Młoteczek! Sierpiak! Jak to wszystko brzmi pokojowo, sielsko, niewinnie! Ale niestety, to tylko reklama, zewnętrzne wywieszki, piękne frazesy dla głupich, bo czyny bolszewickie świadczą o czymś zupełnie innym. Prawdziwa historia bolszewicka, to wieczny przelew krwi, to bezustanne rewolucje, krwawe domowe wojny i mordy. Dlatego wiele właściwszymi znakami bolszewików byłyby sztylet i karabin i bomba i benzyna!

Kto dotąd się ludził, kto dotąd wierzył wzniosłym bolszewickim gładzeniom o pokoju i rajach bolszewickim, tego niewątpliwie przebudziły strzały w Luboniu. Krew kapłana męczennika wielkim głosem woła na alarm!

Krew tego kapłana mówi: Nie wierzcie bolszewikom! **Nie wierzcie bolszewikom przede wszystkim wy, katolicy robotnicy!**

Jak świdy w drzewo, tak będą bolszewicy starali się wkręcić przede wszystkim w wasze organizacje, do waszych fabryk i do waszych dzielnic fabrycznych. Żaden katolik, żaden chrześcijanin nie może się jednoczyć z nienawiścią i zbrodnią. Żaden z was nie może stać się Judaszem Iskariotem, sprzedającym bolszewickim „arcykapłanom” Jezusa za 30 srebrników! Łącząc się z nimi straciecie to, co najdroższe jest człowiekowi: straciecie na wieki swoją duszę. Chory woła lekarza, umierający kapłana. Czy masz, człowieku, odwagę pójść na spotkanie z odwiecznym Sę-

dział bez pocieszenia religii?! Nie pozwólcie się przede wszystkim terroryzować! Bo o to im tylko idzie, aby widokiem krwi i zapachem prochu wywołać przygnębienie i uczucie bezbronności! Nie na to rozgromiliśmy pod Warszawą Lenina, aby teraz stać się pacholkami pacholków Stalina.

Nie wierzcie obietnikom bolszewickim i wy, — jakiegokolwiek rodzaju i stanu — ludzie wiejscy! I do was się zbliży bolszewik. Rozpocznie od tego, że jak w Rosji 1917 r. zacznie użerać na dziedzica! Ale okropnie się mylicie, że to się skończy na dziedzicu! Tak jak w Rosji będzie to dopiero początek złego. Po dziedzicu przyjdzie kolej na folwarcznych gospodarzy. Potem nastąpi trzeci atak na tych, którzy nie mając folwarków, mają dość wielkie jeszcze gospodarstwa! Potem bolszewik zejdzie znowu szczebel niżej i zwinie gospodarstwa po 30 do 50 morgów, zawsze podjudzając słabszych, uboższych przeciwko bogatszym! Wreszcie zorganizuje się okoliczną hołotę, ludzi spod ciemnej gwiazdy, głodny proletariatus wielkowiejski, sprowadzi to wszystko pewnego dnia do wsi i huzia na tych, co mają jeszcze 2 lub 3 morgi, huzia na tych, co mają jeszcze chałupkę, i dopiero teraz, gdy już w 4 czy 5 atakach nastąpiło ogołocenie wsi całej z wszelkiej własności, dopiero teraz ujawni bolszewik prawdziwe swe oblicze: zakuje tak tych, co kiedyś coś posiadali, jak tych, co nic nie mieli, w jedną wielką, wspólną, haniebną niewolę!!

Bo bolszewik, kłamca odwieczny, dużo obiecuje, ale nie dotrzymuje niczego.

Nie lekceważcie wreszcie niebezpieczeństwa bolszewickiego także i wy, którzy jesteście kwiatem i świecznikiem narodu, którzy dzięki lepszemu wykształceniu i większemu historycznemu doświadczeniu macie przewodzić narodowi w wszelkich ciężkich jego chwilach! Nie mówcie tedy: nam zaraza bolszewicka nie grozi. Nie pocieszajcie się: „Nam nawet w innym ustroju państwowym będzie dobrze! Bo my lekarze, inżynierowie, literaci, urzędnicy, my zawsze jesteśmy potrzebni każdemu państwu, bez nas żaden naród obyć się nie może!”

Czy nie pamiętacie już, jak ów potwór bolszewicki, przywłaszczony sobie w tragiczną godzinę rządu wielkiego państwa, niczym dzikie, krwiożercze zwierzę **dopał przede wszystkim gardła inteligencji, jak wytrzebił milionowe rzesze waszych braci, jak zniszczył w pierwszym rządzie kwiat narodu, jak na barkach zbrodniarzy zbudował najkrwawszą, najpotworniejszą tyranję!** Jeszcze trawa nie porosła nad tymi grobami a już byście mieli zapomnieć to wszystko?

Gdyby żył wielki kapłan Piotr Skarga, jak ongiś do braci szlachty, dziś **w pierwszym rządzie do Was Braci Inteligencji skierowałby swe pamiętne sprzed przeszło 300 laty ostrzeżenie:**

„Gdybym był Jeremiaszem, wziąłbym pęta na nogi, i łańcuch na szyję i przyszedłbym do was i wołał:

Tak spętają pany i pognają w cudze strony.

I wziąłbym płachtę zbutwiałą i zgnojną, uderzyłbym o plot, żeby rozleciała się w kawałki i rzekłbym:

Tak w perzynę się obróca wszystkie wasze blaski, wszystkie wasze dostatki i wszystkie majątności wasze.

Gdybym był Ezechielem, ogoliwszy brodę i głowę, podzieliłbym włosy na 3 części, jedną bym spalił, drugą posiekał na kawałki, a trzecią z wiatrem bym puścił i rzekłbym do was:

Jedni z was poginają głodem, drudzy mieczem, a trzeci po świecie się rozproszycie!”

Tak mówiłby dziś Skarga do Was Braci Inteligencji.

Nie mówcie tedy, nam inteligencji nic nie grozi. Nie łudźcie się nadzieją: że nasze państwo jest silne, że Polska to mur mocny, wysoki, że rysowania żadnego w nim nie widać.

Raczej jako przodująca warstwa narodu zawsze pilnie nastawiajcie ucha, azali nie słyhać w którymś miejscu trzeszczących bieżym państwowych! Raczej skrzętnie dawajcie baczenie, azali nie pojawiają się jakie rysowania tego muru, który państwem i ojczyzną swą zowiecie. Nie czekajcie, aż wypełzną spod ziemi, wrogowie, nie zwlekajcie, ażeby pewnego dnia ów mur, dziś jeszcze mocny i silny, w czasie snu waszego, falami bolszewizmu podmyły i podważony, nie zwałił się i nie potłukł was wszystkich!

Kościół jest wieczny. Nie zgniotą i nie zniszczą go Judasze Iskarioci, płatni najemnicy czerwonego cara! Kościół jest wieczny, bo otrzymał z ust samego Jezusa Chrystusa zapewnienie wieczności! Ale tego zapewnienia nie mają narody i państwa! Wskutek niedołęstwa warstw przodujących mogą zginąć i zniknąć na wieki! Dlatego czuwajcie! Dziesiątki tysięcy uczestników, którzy ze wszystkich stron Polski przybyli do Lubonia na pogrzeb kapłana męczennika, setki gorących manifestacji i protestów pojawiających się dnia każdego i napływających na ręce J. Em. Ks. Prymasa i do biur redakcyjnych pism katolickich, hojne ofiary zbierane już dzisiaj na postawienie pomnika godne świadectwo dającego temu świętemu męczeństwu, niech będą Wam zapewnieniem i gwarancją, że w walce z bolszewizmem, liczyć możecie na poparcie bezwzględne, na poparcie — zdrowie, mienie i życie niosące całego społeczeństwa polskiego. *f. f.*

Dla uczczenia pamięci ofiarnej śmierci Ks. Stanisława Streicha

Druk. i Księg. Sw. Wojciecha, do której należy i „Przewodnik Katolicki”, ofiaruje celem uczczenia tragicznej śmierci ś. p. X. Streicha wielki ołtarz do kościoła w Luboniu.

Redakcja „Przewodnika Katolickiego” zgodnie z powszechnym głosem wzywa Czytelników swoich i wszystkich katolików do składek na pomnik ś. p. Ks. Stanisława Streicha, godny jego ofiary. Ewentualne składki prosimy przysyłać pod adresem Redakcji.

ADAMPOL — POLONESKÖY

Kolonia polska w Azji Mniejszej w państwie otomańskim a obecnie w Turcji Atatürka — Kemala

Jak powstał Adampol?

Powstanie Adampola jest związane z tragiczną historią narodu polskiego po rozbiorach. Bolesne te dzieje zmusiły wielu Polaków do tułaczki po od-

stała zawsze polską i w polskich rękach, ułożył książkę za zgodą rządu tureckiego statut, który do dziś obowiązuje i który zachował Adampol do dziś czysto polskim.

pod wykarcowanie jako wieczystą dzierżawę.

2^o Nie wolno sprzedawać, odnajmować ziemi i w ogóle dopuszczać osiedlania się na stałe w Adampolu ludziom

Najważniejsze punkty tego statutu są:

1^o Każdy Polak-emigrant, przesładowany od trzech za-



Młodzież adampolska na szczycie w pobliskich górach.



Pan Emil Biskupski, jeden z najlepszych myśliwych w Adampolu.



Willa pani Apolonii Ryżej w Adampolu otoczona różami i okwieconymi drzewami. Przed domem właścicielka.

Powyżej: Dawny proboszcz adampolan ks. Wiśniewski w powrocie z Kongresu Eucharystycznego w Manili odwiedził swych parafian.

ległych ziemiach, a często i do stałego osiedlania wśród obcych. Tak było i z powstaniem Adampola, które znajduje się w Małej Azji naprzeciw Konstantynopola.

Pierwsi koloniści Adampola (Polonesköy) — to uczestnicy walk o wolność z lat 1831 i 1848. Uciekając przed zemstą Rosji przywędrowali tu, podobnie jak do Francji, w wielkiej liczbie, często bez środków do życia, bez widoków na jutro. Rozbitków tych zaczęli gromadzić koło siebie hr. W. Zamojski i Michał Czajkowski (Sadyk Pasza) i stworzyli z nich organizację wojskową t. zw. kozaków otomańskich. Przeznaczeniem ich była walka z Rosją o utrzymanie całości olbrzymiego ongiś państwa otomańskiego, a przy jego pomocy — wywalczenie niepodległości Polski.

Fundacja i statut

Dla tych, którzy niezdatni byli do wojska, i by po tej wielkiej 20-to tysięcznej armii zostawić żywy pomnik w Turcji — książę Adam Czartoryski kupił za pośrednictwem Michała Czajkowskiego od Księży Lazzarystów francuskich teren lesisty, liczący przeszło 1000 mórg i z pozwoleniem rządu tureckiego zaczął osiedlać swych emigrantów politycznych. By jednak ta osada, nazwana Adampolem od imienia księcia Adama Czartoryskiego, pozo-

borców w sprawie politycznej, ma prawo do zakolonizowania się w Adampolu i dostaje 15 dylomów lasu (dyl = 1/4 morgi)

obcej narodowości.

Ze strony rządu tureckiego za udział w walkach Adampol otrzymał jako przywilej zwolnienie od podatków, co trwało do 1909 r., tj. do uchwalenia nowej konstytucji.

Hardość mazurska

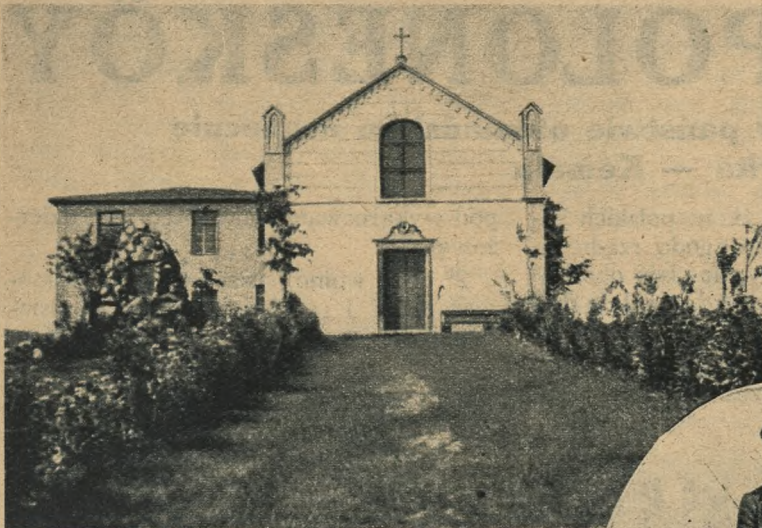
Wielu emigrantów z wdzięcznością skorzystało z fundacji księcia Adama. Nie wszyscy jednak pozostali, nie przyzwyczajeni do ciężkiej pracy. Trzeba było bowiem tu każdą piędź ziemi wrywać dzikiej naturze. Nie było wolnego miejsca nawet na wybudowanie sobie domku.

Lecz hardość mazurska zrobiła swoje. Kolonia powstała w latach od 1842 do 1843, a już przed wojną krymską było tu 40 schludnych domków.

Wojna krymska w latach 1854—55 przerwała na jakiś czas rozwój kolonii. Duża część kolonistów, gdy zagrała trąbka wojenna, poszła walczyć na polach krymskich pod wodzą Michała Czajkowskiego (Sadyka Paszy). Część ich tam poległa, część wróciła z innymi towarzyszami broni. Zaczęli na nowo budować, karczować i czynić zdatną do uprawy niewdzięczną, spieczoną żarem południowego słońca, ziemię anatolską.



Bajwoły — najwytrzymalszy zaprzęg w górach Anatolii.



Kościół w Adampolu. Obok dom parafialny, odnowiony przez Ks. A. Wojdasa. W domu tym mieści się obecnie szkoła turecka.



Procesja Bożego Ciała w Adampolu. Tak jak u nas w polskiej, małej wiosce. I wieś taka podobna do naszych wsi, bo przecież polska.



Ks. A. Wojdas w drodze do Adampola. Duszpasterz w każdą niedzielę i święto w ten sposób odbywał drogę.

Wzorowa wieś na całą Turcję

Wytrwała praca pradziadów dzisiejszych kolonistów wszystko pokonała i uczyniła z miejsca, gdzie dawniej było siedlisko wielkiej ilości dzików, wilków i obozów cygańskich (stąd cała okolica zwała się „Czengene Konak“, t. j. Dwór Cygański), miejscem naprawdę prześliznym, pierwszą, wzorową wsią na całą Turcję.

Z latami Adampol, kiedy przybywało domków, kiedy wrywano dzikiej przyrodzie coraz więcej terenów uprawnych, kiedy cały zamienił się w jeden wielki ogród owocowy, zaczął ściągać ze wszystkich stron turystów-kuracjuszy — stał się letniskiem. Niejeden mieszkaniec Stambułu (Konstantynopola) dla uspokojenia swych nerwów przybywał tutaj, aby odpocząć na łonie dzikiej przyrody azjatyckiej, wśród lasów bukowych, kasztanowych i szczytów gór, pokrytych gąszczami wawrzynów.

Niejeden chciał doznać gościnności adampolskiej — iście staropolskiej. To też już od dawna porą letnią tłumy turystów napełniają Adampol. Z czasem zaczęło brakować dla nich miejsca. Poczęto budować nowe domy-wille, przystosowane dla przyjęcia gości nawet na dłuższy okres czasu. Zniknęły chaty słomą kryte i dziś już ich prawie nie ma.

A cóż z polskością w Adampolu, co z wiarą ojców?

Modlić się po polsku!

Największą ostoją polskości Adampola było dotychczas to, że jego osadnicy mogli bez przeszkód porozumiewać się w mowie ojczyściej, zachować

swoje obyczaje, uczyć dzieci po polsku, modlić się bez przeszkód we własnym kościółku — mieć stałe nauczyciela polskiego i księdza polskiego. Po rozwaleniu się starego kościółka drewnianego po ostatnim trzęsieniu ziemi w r. 1898, kolonia jakiś czas została bez kościoła i bez księdza stałego. Lecz za staraniem hrabiny Zborowskiej (Procyń koło Krynicy) zebrano po Polsce tyle funduszy, że po oddaniu ich w ręce Zgromadzenia Salezjańskiego w 1912 r., mogło ono zacząć budowę obecnego mrowanego już kościółka, domu parafialnego obok, a zarazem szkoły polskiej.

Dzięki energicznej pracy pierwszego proboszcza salezjanina, ks. Aleksego Siary — kościół wraz z domem stanął już w r. 1914. Niestety wojna przeszkodziła w niejednym, a nawet na jakiś czas wyrzuciła kolonistów całkiem ze swoich siedzib. W 1920 r. wrócili do pustych ścian i zniszczonego kościoła — od czasu jednak powstania republiki

i mądrych rządów twórcy nowej Turcji — Ataturka, kolonia znówu dochodzi do rozkwitu.

Uczyć się po polsku!

Od 1922 r. otwiera się oficjalnie szkoła polska i przybywa na stałe nauczyciel polski. Przyjeżdża też co 2 tygodnie ksiądz polski — salezjanin, ks. Tomasz Zaremba, który pracuje tu do roku 1935. Niestety, w 1926 r. szkoła polska (w wielkiej mierze z winy kolonistów) została zamknięta. W r. 1930 otworzono w tymże domu parafialnym szkołę ściśle turecką, gdzie nie wolno mówić po polsku. Od tego czasu prawie że ustała opieka polska i możliwość wpływu na dusze młodych adampolan.

Trudności z powodu nowego prawa

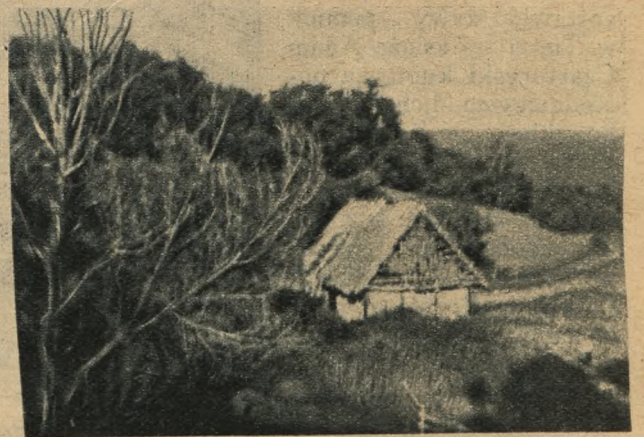
Warunki wytworzone wymagały przynajmniej księdza polskiego na miejscu, by dusze adampolan nie paczyły się. Niestety, ks. Zaremba już nie miał siły, aby się tam osiedlić i tworzyć sobie nowe warunki życia. Dlatego Zgromadzenie Salezjańskie, chcąc pomóc adampolanom przy wychowaniu ich dzieci, przeznaczyło młodszego swego członka — ks. Antoniego Wojdasa. Ten przyjeżdżając, starał się zadośćuczynić potrzebom tej opuszczonej części narodu polskiego na ziemi azjatyckiej i objawił gotowość poświęcić dla nich życie na miejscu.

Napotkał jednak na nieprzewidziane trudności, bo oto w obecnej Turcji jest prawo, że w Anatolii (gdzie leży Adampol) — cudzoziemiec (obcy



Na lewo:
Grobowiec Ludwiki Śniadeckiej, uwiecznionej w poezjach Juliusza Słowackiego. Była ona żoną powieściopisarza polskiego Michała Czapkowski (jako turecki generał po przyjęciu mahometanizmu zwał się Sadyk Pasza).

Na prawo:
Jedna z ostatnich krytych słomą chat w Adampolu.



poddany) nie może się osiedlać na stałe. Toteż pomimo licznych prośb i jego i adampolan i wszystkich czynników w państwie począwszy od starosty aż do ministra spraw wewnętrznych — do tychczas, tj. od blisko 3 lat, nie otrzymał ks. Wojdas takiego pozwolenia. Może tylko dojeżdżać w niedzielę i święta. Adampolowi więc obecnie grozi wynarodowienie się i zatracenie obyczajów i wiary ojców.

Świeżo zwiększyło się to niebezpieczeństwo, bo od 1 sierpnia roku zeszedłgo wszyscy adampolanie zostali zmuszeni do przyjęcia obywatelstwa tureckiego, a księżom, obywatelom obcym, zabroniono dojazdu.

Chociaż ks. Wojdas, wezwany przez władze miejscowe do złożenia podania o obywatelstwo tureckie, złożył je solidarnie wraz z adampolanami, to jednak zabroniony mu został dojazd do Adampola już od 2 miesięcy. Został przez to zamknięty kościół i adampolanie pozbawieni nie tylko opieki polskiej, ale również możliwości wykonywania praktyk religijnych, bo także inni księża nie mogą tam jechać, jako obcy poddani. Tureckich zaś księży tu nie ma w ogóle.

Nadzieja w przyjaźni polsko-tureckiej

Wierzmy jednak, że w imię tradycyjnej, historycznej przyjaźni polsko-tureckiej, to chwilowe doświadczenie Adampola minie i znowu ten żywy pomnik wspólnych bohaterskich walk ożyje na nowo ku wspólnemu dobru państwa polskiego i tureckiego. Żadne prawa poddaństwa nie powinny zażądać drogi kapłanowi polskiemu do tych, których przodkowie kiedyś walczyli o wolność Turcji.

Drugie dwadzieścia lat przy stoliku redaktorskim

XIII.

Konferencja z generałem. — Nie wystarcza mu lojalność. — Długa rozmowa z Erzbergerem. — Jego przyjacielskie przestrogi. — Tajemnicza wiadomość. — Namowa Erzbergera do wystąpienia przeciwko Włochom. — List od Bernhardiego. — Groźba zamknięcia Przewodnika. — Mój nagły wyjazd do Szwajcarii.

A więc rozprawa z generałem Bernhardim...

Nasza konferencja odbyła się w wielkim salonie w gmachu dowództwa armii. Przy biurku rozsiadł się jak turecki pasza generał, dokoła stały liczne krzesła, ale gospodarz nie prosił mnie, abym zajął miejsce. W stojącej tedy postawie wyczekiwałem jak mizerny grzesznik surowego wyroku. Dopiero obecny na tej konferencji profesor Hermann podsunął mi z tyłu krzesło.

Zacząła się rozprawa. Referował „znawca“ dla spraw prasy polskiej prof. Hermann. Przytoczył wszystkie prawie oskarżenia, o jakich już wyżej wspominałem, i bardzo ostro podkreślał moją winę. Nie przypominam sobie już dzisiaj wszystkich szczegółów tej dosyć długiej rozprawy. Utkwiło mi tylko w pamięci, że stary krzyżak Bernhardt, zabarwiwszy jeszcze jaskrawiej moje uchybienia, zapowiedział, że będzie postępował ostro i bez pardonu.

Kiedy oświadczyłem mu, że jednak do winy się nie poczuwam, i że przestrzegałem we wszystkim koniecznej lojalności, Bernhardt uderzył pięścią w biurko i zawołał:

— Lojalność mi zupełnie nie wystarcza; żądam od księdza prawdziwie pruskiego patriotyzmu (ich verlange von Ihnen einen richtig preussischen Patriotismus).

Wiedziałem, że na tej płaszczyźnie nie będzie porozumienia między mną a Bernhardem i dlatego cicho podniosłem się z miejsca i cofałem się ku wyjściu. A Bernhardt jakoby jeszcze rzucał za mną groźne pociski:

— Proszę pamiętać, że przy najmniejszym zakwestionowaniu zawieszę pismo aż do końca wojny.

— Pocałuj psa w nos — powiedziałem sobie, ale tylko w duszy. Już bowiem wtedy zdawałem sobie sprawę, że w redakcji Przewodnika w tych warunkach długo popasać nie mogę.

Minęło kilka tygodni. Byłem znowu w Berlinie na posiedzeniu parlamentu. Zaledwie przybyłem do Izby, a już mi

powiedział woźny, że szuka mnie bardzo poseł Erzberger. Ponieważ nie miał pewności, czy przyjadę na sesję, dlatego już wysłał list pod moim adresem osobistym do Poznania. Nie zaniechał jednak, gdy mnie spotkał, całą rzecz wyłożyć na tapecie.

— Ksiądz wie — mówił Erzberger swoim szybkim, trzepocącym sposobem mówienia — że rzuciłem swego czasu cały swój wpływ na szalę wyborów na rzecz szanownego księdza. Moi koledzy polityczni nie bardzo mnie za to chwala. Nie przypominam tego, aby twierdzić, że bez mojej pomocy ksiądz nie doszedłby do mandatu, ale aby okazać księdzu moje osobiste zainteresowanie i podkreślić także pewną odpowiedzialność, którą ponoszę dla księdza wobec niemieckiej opinii publicznej. Ksiądz chyba także wie, że zawsze dla Polaków miałem wielką przyjaźń, którą objawiałem w słowie i w piśmie, radą i czynem w całej swej karierze politycznej. Wobec tego niech ksiądz będzie łaskaw przyjąć do wiadomości następujące uwagi:

Ksiądz jest naczelnym redaktorem bardzo czytanego i rozszerzonego pisma „Przewodnik Katolicki“. Pismo to stoi w ścisłym związku z duchowieństwem, jemu zawdzięcza swój rozległy wzrost i cieszy się szczególniejszą opieką władz duchownych. Ksiądz sam, jako wybitny członek duchowieństwa poznańskiego, stoi na czele wydawnictwa. I otóż od niejakiego czasu dochodzą nas wieści, że są ważne powody do nieufności dla „Przewodnika“ ze względu na jego kierunek polityczny. Gdyby ksiądz o tym nie miał wiedzieć, to dowie się o tym rychlej czy później w sposób bardzo nieprzyjemny. Pismo księdza zażywa obecnie w kołach niemieckich, i to w kołach najwyższych, takiej opinii, że naprawdę lękam się rzeczy najgorszych. Żyjemy obecnie w wojnie, czasach niezwykłych, gdzie do zachowania się wszystkich a zwłaszcza innojęzycznych elementów stawia się zupełnie inne wymagania, aniżeli

zwykle. Czy to jest słuszne czy niesłuszne, w to nie wchodzę, ale to pozostaje prawdą. Dlatego prawdziwi przyjaciele tej ludności, mieszkającej na pograniczu, muszą dbać o to, aby unikano wszystkiego, co by mogło wzbudzić choćby najlżejsze podejrzenie o usposobienie antypaństwowe. Domyślam się, że inne pisma poznańskie mają więcej na sumieniu, aniżeli pismo księdza, ale przy żadnym nie odczuwam tego tak przykro, ponieważ tutaj chodzi o duchowieństwo i bezpośrednio o osobę księdza kolegi. Nie twierdzę też, że wszystko, co się mówi, musi być prawdą, ale powiadam, że nie ma dymu bez ognia i że pismo księdza całym swym zachowaniem daje powód do najróżniejszych zaczepek, oskarżeń i może do kar. Lud polski jest na ogół i teraz nawet spokojny, jakkolwiek wielu jego nieprzyjaciół pcha rząd do ostrych wystąpień. Prasa, jako na zewnątrz widoczny wskaźnik usposobienia ludu, mogłaby zawinić, żeby lud został pozbawiony wszystkich owoców swoich ofiar, które składa na ołtarzu miłości państwa. Teraz jest wojna! Niemcy nie mają czasu do innych rzeczy. Ja pragnę skasowania praw wyjątkowych tak samo jak ksiądz. Dowiodłem tego tysiąc razy. Napisałem w tym przedmiocie całe rozprawy i książki. Ale właśnie dlatego jako wypróbowany przyjaciel Polaków poczuwam się do obowiązku wskazywać na to, że najrozsądniejszą, że jedyną drogą prowadzącą do uregulowania spraw narodowościowych w prowincjach mieszanych, to jedynie lojalne, prawdziwie bezstronne zachowanie się tej ludności w czasie wojny. Pomyśl, kolega, jaką byłoby szkoda dla polskości i dla Kościoła, gdyby najważniejsze pismo ludowe, jakim rozporządza duchowieństwo, miało być na całe trwanie wojny zamknięte. Przychodzę do księdza jako przyjaciel Polaków i jako katolik i przestzegam go. Proszę ufać więcej mnie, niż takim, którzy się księdzu nie narzucają, ale po cichu kręcą mu stry-

czek. A przy tej sposobności także całemu polskiemu narodowi.

Mówił mi na końcu tej długiej rozmowy kolega Erzberger, że już od dwóch miesięcy słyszał o nieprawo- wiernym zachowaniu się „Przewodnika” i dawno już chciał mi o tym pisać.

— Powiedziałem sobie jednak wów- czas: to minie. Ale od tego czasu dowie- działem się jeszcze dużo nowych rzeczy i to na drodze najbardziej urzędowej.

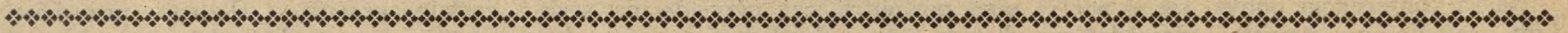
To, co słyszał na najbardziej urzędo- wej drodze, to mi następnie powierzył w wielkiej tajemnicy:

— Wczoraj odbyła się najwyższa rada wojenna. Wiem z całą pewnością, że uchwalono na niej zawiesić po 10 dniach „Przewodnik Katolicki” aż do końca wojny. A księdza redaktora zamierzają osadzić na dłuższe rozmyślanie w twierdzy Torgau.

Milczałem w zadumaniu nad tym, co usłyszałem z ust kolegi.

Erzberger uważał za stosowne pod- nieść mnie na duchu.

— No, niech ksiądz nie traci otuchy. Radzę napisać ostry artykuł („einen geharnischten Artikel”) przeciwko święto-



kradczym Włochom — działo się to wtedy, gdy Włosi skłaniali się do wy- stąpienia we wojnie po stronie koalicji przeciwko Niemcom — a zatrze się złe wrażenie dotychczasowego postępowania „Przewodnika” i będzie znowu wszystko dobrze.

Uściskiem rąk rozstałem się z Erz- bergerem.

Już po pożegnaniu Erzberger wrócił jeszcze raz do mnie i powiada:

— Proszę spojrzeć na przechodzą- cych po korytarzu kolegów. Jak nas obserwują! Jak wyrażają sobie wza- jemnie zdumienie, że taki „niemiecki” poseł jak ja, rozmawia tak długo z ta- kim buntowczykiem jak ksiądz.

I roześmiał się serdecznie.

Przybywszy z Berlina do domu, zasta- łem u siebie list od „przyjaciela” Bern- hardi’ego, pisany twardo i brutalnie.

— Jedyne pozytywne w piśmie księ- dza — tak dekretuje pan Bernhardi — jest dla mnie zapewnienie księdza o po- ważnym staraniu, żeby w „Przewod- niku” niczym nie dać powodu do nie- ufności. To będzie też leżało w księ- dza interesie, bo tutaj powtarzam pi-

śmiennie i najwyraźniej, czym już za- groziłem ustnie dnia 22 maja, że pismo księdza przy najdrobniejszym zakwe- stionowaniu bez wszystkiego zostanie zakazane.

Mając taki list w rękę i posiadając informacje uzupełniające od posła Erz- bergera, wiedziałem już co zrobić.

Przywiozłem wtedy właśnie świeżą wiadomość z Berlina, że na arcybiskupa gnieźnieńskiego-poznańskiego został de- sygnowany ksiądz kanonik i prałat Dalbor. Do niego, jako do najwyższego zwierzchnika duchownego, ale także jako do szefa właścicieli św. Wojciecha, do których należał „Przewodnik Kato- licki”, udałem się z prośbą o radę. Wynik narady z arcybiskupem-nomina- tem był taki: W tej chwili zdać re- dakcję na kogo innego i wyjechać do Szwajcarii. Wywoła się przez to wra- żenie, że redaktor, zmęczony trudami ostatnich czasów, udaje się na ko- nieczny wypoczynek i wytchnienie.

I tak, gdy następna noc rozpostarła nad miastem swoje cienie, już mnie w Poznaniu nie było.

Ks. Józef Kłos.

RÓŻNE WIADOMOŚCI

Poniósł śmierć w obronie kościoła. Świeżo obok kościoła parafialnego św. Antoniego w Siemianowicach znaleźli przechodnie zwłoki kościelnego, Augustyna Cierpiola. Przechodnie zaalarmowali policję, która wszczęła dochodzenia i ustaliła, że Cierpiol przed uduśmieniem się na spoczynek obchodząc kościół, natrafił na osobnika, który wyłoczył szybę witrażową w kościele, aby się dostać do wnętrza i doko- nać świętokradztwa. Cierpiol chciał przytrzy- mać sprawcę, wówczas ten rzucił się na niego, uderzając kościelnego ostrym narzędziem w lewy bok, Cierpiol upadł na ziemię i z powodu krwiotoku wewnętrznego zmarł. Sp. Cierpiol osierocił żonę i dwoje dzieci.

Komunizm — zemsta żydów nad światem. Włoska gazeta „Il Regime Fascista” zaatakowała gwałtownie żydostwo. Oburzyło to bez- granicznie żydowską dziennikarkę Sarę Lewi, która odpowiedziała na artykuł stekiem wy- myśłów, zamieszczonych w artykule drukowa- nym w „L. P. A.”.

„Ja i moi współwyznawcy uważamy kraj, który zamieszkujemy, jako chwilową i przej- ściową ojczyznę, z którą nie łączy nas żadna tradycja, która by zapuściła głębsze korzenie w naszej duszy. Komunizm jest krwią z krwi na- szej. To, co teraz przeżywamy, jest chwilą ży- dowskiej zemsty nad światem chrześcijańskim.”

To wyznaczenie żydowskiej dziennikarki posia- da znamienne cechy, zdradza nieprzejednane stanowisko żydów względem chrześcijaństwa.

Pielgrzymka do Rzymu na kanonizację Błog. Andrzeja Boboli. Wobec ustalenia przez Ojca św. daty kanonizacji błog. Andrzeja Boboli T. J., pospiesza do Rzymu pielgrzymka kanonizacyjna, zorganizowana przez oo. Jezui- tów i Sodalicję Mariana. Od szeregu mie- sięcy zapowiadana i przygotowywana, realizuje się dziś w przyspieszonym tempie. Posiadając wysoki protektorat Ich Eminencji obu księży Kardynałów polskich i całego naszego Episko- patu, pielgrzymka ta, która odbędzie się w dniach 12 — 21 kwietnia br., w pierwszy dzień Wielkiej Nocy (17. IV.), weźmie udział w uroczystościach kanonizacyjnych w Bazylice św. Piotra w Rzymie i będzie manifestacją du- cha katolickiego i patriotycznego Polski.

Jest to przy tym najtańsza pielgrzymka ze wszystkich dotychczasowych, gdyż kosztą jej wynoszą w klasie III od zł 175 do 216 wraz z paszportami (różnica w cenie zależy od trasy, których jest trzy).

Wobec ogromnej ilości zapisujących się, przygotowuje się szereg pociągów. Zapisy trwać będą tylko do dnia 20 marca i przyjmuje je jedynie „Komitet organizacyjny pielgrzymki kanonizacyjnej” w siedzibie swej — Warszawa,

Świętojańska 15, parter wprost wejścia, od godz. 9 — 17, telefonicznie do 21, tel. 208.02.

Obrażone gołębie. Postanowiliśmy urządzić wzorowe strzelanie do gołębi o nagrody. Po- myśl ten przez znajomych przyjęty został z zachwytem. Znalazł się jakiś bywalec z Monte Carlo, który znał doskonale sposób organizo- wania tego strzelania, t. j.: jakie mają być od- ległości dla strzałów, rozmieszczenie klatek z gołębiami i t. d. Znalazły się też osoby, które ofiarowały nagrody, nawet dosyć po- kaźne. Znalazło się wreszcie siedemnaście fuzji, które postanowiły brać udział w tych zawodach. Chodziło teraz o gołębie. Pani domu swoich gołębi dać nie chciała. Miała ich dużo, ale była do nich przywiązana. Nie chciała ich wystawiać na niechybną śmierć. Postanowiono więc gołębie kupić, gdzie się da, na najbliższym targu i po okolicznych wsiach. Zaproszenia zostały wysłane, nagrody kupione, plac do strzelania przygotowany, go- łębie w ilości 200 sztuk na czas zakupione. Pogoda dopisała, cała zabawa udała się świet- nie. Konkursowe strzelanie do gołębi o na- grody zachwycało wszystkich. Przepraszam, nie wszystkich.

Miejskowe gołębie, które właścicielka tak wspaniałomyślnie ochroniła od śmierci, wy- nosiły się co do jednego. Znikły na drugi dzień z gołębnika i więcej do niego nie po- wróciły nigdy. Stało się widoczne i zrozu- miałe, że chociaż zostały same oszczędzone, widziały jednak los swych współbraci i nie zostały na to obojętne. Nie mogąc w inny sposób okazać tego, z obrzydzeniem i pogardą opuściły demonstracyjnie miejsce zagłady tyłu innych gołębi.

Ta gołębia solidarność może być nauką dla nas ludzi, którzy tak często nie umiemy wcale solidarnie współczuć i współdziałać z naszymi braćmi cierpiącymi lub ginącymi. Nieraz na- wet, o zgrozo, czynimy się z nieszczęścia na- szych bliźnich.

Demonstracja przed ambasadą sowiecką w Warszawie. W związku z mordem popeł- nionym na osobie ks. Streicha w Luboniu, pewna grupa osób usiłowała demonstrować przed ambasadą sowiecką w Warszawie.

Życiem przyplacił lekkomyślny bieg po lodzie. W Pistyniu pod Kołomyją, 17-letni uczeń szkolny, Jan Petryczyk, zatożył się ze swoimi rówieśnikami, że potrafi dłuższy czas przebywać na mrozie zupełnie nago.

Lekkomysłny chłopiec przystąpił do wyko- nania warunków zakładu. Pozostał tylko w cienkiej koszulce i bosy począł biec dukoła łączki, okrążającej budynek szkolny. Widowi- sku temu przypatrywało się kilkunastu chłop-

ców, którzy ku wspólnej uciechu zachęcali Pe- tryczyka do wytrwania w biegu.

W pewnym jednak momencie chłopcy zau- ważyli, że Petryczyk zatrzymał się, po czym upadł na zlodowaciały śnieg. Poczuli biec mu z pomocą, a gdy znaleźli się obok niego spo- strzegli, że chłopiec leży, nie dając znaków ży- cia. Przeniesiono Petryczyka do pokoju, ubrano go i wezwano miejscowego lekarza. Pomoc wszelka okazała się jednak spóźnioną. Lekarz stwierdził zgon wskutek silnego oziębienia or- ganizmu.

Jest jeszcze wielu posiadaczy banknotów przed- wojennych a szczególnie niemieckich. Na nich to żerują międzynarodowi aferzyści, aby wyciągnąć ostatnie grosze na zaliczki tyt. kosztów procesów, rzekomo wnoszonych przeciw Bankowi Rzeszy, aby tenże, zmuszony przez sądy zagraniczne, wykupił stare i z obiegu wycofane banknoty. Nie ulega wątpliwości, że tym aferzystom i oszustom za- leży tylko na wyludzeniu pieniędzy, gdyż każda sobie opła- cać najmniej 11 zł na kosztą. Wszystkich naszych drożych Czytelników przestrzegamy przed tego rodzaju oszustami, których oddać należy w ręce policji.

O nasz czynny udział w misteriach Ko- ściola. Staraniem Archidiec. Instytutu Akcji Katolickiej ks. dr Władysław Śpikowski wyg- łosi w Poznaniu cykl wykładów z zakresu li- turgii mszy świętej. Tegoroczny cykl wykła- dów poświęcony będzie wyjaśnieniu całego szre- gu formularzy mszalnych. Wykłady odby- wać się będą w środy i piątki od 16 marca począwszy, o godz. 8 wieczorem w Związko- wej sali Sodalicyjnej, ul. św. Marcina 69.

Rodziecom przypominamy, że najlepiej jest zaab- nować dla dziecka takie piśmka, których redakcje gwa- rantują wysoki poziom literacki artykułów oraz pracują w duchu katolickim i narodowym. Piśmkami takimi są: „Młody Polak” i „Dzwonki” dla młodszych dzieci, któ- rych wydawcą jest Stowarzyszenie Chrześcijańsko-Narodo- wego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych. Adres redakcji obu piemek: Warszawa, Chmielna 58. Konto P.A.O 11644.

Kalendarz liturgiczny

13. III. niedz., *fiol.*, II. **Wielk. Postu**, nie ma Gl., 2. modl. (A cunctis), 3. modl. (Omnipotens), Cr., Pref. na W. Post. Ben. Dom.; — **św. Nicefor**, patriarcha Konstantynopolu, *męcz.*, † 828.

14. III. poniedz., *fiol.*, **msza z dnia**, poza tym jak wczoraj nie ma Gl.; — **św. Matylda**, cesarzowa, † 968.

15. III. wtorek, *biały*, **św. Klemens Dworak**, re- demptorysta, apostoł Wiednia i Warszawy, † 1820, Gl., 2. modl. z dnia, ostatnia ewangelia z dnia.

św. Zachariasz, pap. i wyzn., † 752; — **św. Ludwika Marillae**, współzałożycielka Zgromadzenia SS. Miłosier- dzia św. Wincentego † Paulo, † 1662.

16. III. środa, *fiol.*, **msza z dnia**, poza tym jak w niedz.

13. III.

17. III. czwartek, *czerv.*, **św. Jan Sarkander**, *męcz.*, w obronie tajemnicy spowiedzi św., † 1620, Gl., 2. modl. do **św. Patryka**, Biskupa, wyzn., apostoła Irlandii, † 493, 3. modl. z dnia, ostatnia ewang. z dnia, Pref. na W. Post.; — **św. Gertruda**, panna, *opatka*, † 658.

18. III. piątek, *biały*, **św. Cyryl Jerozolimski**, biskup Jerozolimy, doktor Kościoła, † 368, Gl., 2. modl. z dnia, Cr., Pref. na W. Post.

19. III. sobota, *biały*, **św. Józef**, obłubieniec Najśw. Marii Panny, patron Kościoła katolickiego, Gl., 2. modl. i ostatnia ewangelia z dnia, Pref. o św. Józefie.

ERYK WILK

LISTONOSZ

Starzec spojrział na zegar, a potem westchnął ciężko. Dziesięć po jedenastej.

Czeka na listonosza, który ma przynieść pieniądze od Franka z Ameryki. Wypatruje go, jak zbawienia. Ten przekaz bowiem może uratować wszystko. A jeżeli nie przyjdzie...

Starzec opuścił głowę. Trudno, stało się. Zresztą... kto by się nie pokusił. Ziemia czarna jak węgiel i wcale nie droga.

Brakowało trzystu złotych. Nawinał się Fajger i...

— Panje Balcerek, co pan szje jeszcze namiasz! Taki ładny gront! Tu... ma pan tysiąt złotych i ziemja pańska. Co, procent? Jestem uczywy kupiec. Co mi po procentach! Oddasz pan za gżeczność czterysta... co, za dużo? No, to dasz pan tystapiendziesiont i będziemy kwit. Kiedy? Ja szje o to nie martwię, a pan szje martwisz? Oddasz pan, jak będziesz miał.

Podpisał. Drżącą ręką, osłepiony radością, że powiększył dobytek o kilka morgów. Po żniwach odda.

Przeliczył się jednak. Wpierw były grady, potem posucha i do stodoły zwiózł niewiele. Poszedł więc do Fajgera poprosić, by poczekał.

— Co, panje Balcerek! Tu jest pański weksel. Płatny był 1 września, a dziś mamy już październik.

— Pan sam mówił przecież, że oddam, gdy będę miał.

— Co ja mówjułem i co pan mówjuł, panje Balcerek, to mnie nic nie obchodzi. Tu, to jest ważny podpis na wekslu. O to szje rozchodzi. I tszego pan jeszcze zondasz, panje Balcerek?!

Poszło do sądu. Przegrał. Apelował i znowu przegrał. Dziś o godzinie pierwszej licytacja. Dwie krowy i cielak.

Stary gospodarz stoi jeszcze chwilę przy oknie, a potem wychodzi na dwór i patrzy na drogę. Długo, tęskno... daremnie. Wrócił do izby. Dwoje oczu starzych spojrzalo nań pytająco i... zaszkliło się nowymi łzami.

Cisza. Słychać tylko brzęk szyb, dygocących pod przeraźliwym naporem wichru i cichy, urywany szloch starej Balcerkowej, przykucniętej pod piecem.

Balcerek chodzi niespokojnie po izbie. Jest zły na siebie. Mógł być iść rano do wsi, na pocztę. Kto wie... takie zaspasy... może dziś nie doręczają poczty? A może listonoszowi nie będzie się chciało iść tak daleko w tym śniegu. Chociaż... zna Karolczaka. To sumienny urzędnik. Łało przecież nieraz jak z cebra, a mimo to przyszedł. Tak,

Karolczak przyjdzie na pewno, jeżeli tylko ma przekaz.

Franek w liście pisze wyraźnie: „Najpóźniej 14-go powinniście pieniądze mieć”. A dziś już jest 18. Kto wie, co zaszło? Z Ameryki do Podemnic, to zawsze kawał drogi.

I znowu niespokojnie oczy zatrzymują się na wskazówkach zegara. Piętnaście po jedenastej. Nie, Karolczak nie przyjdzie już. Jest tu zwykle przed dziesiątą.

Głowa starca opadła ciężko. Siwe oczy wejrzały na dwór, zatrzymały się na wrotach obory i w tej chwili ból wielki ścisnął serce staroego gospodarza. Dwie krowy i cielę...

Nie byłoby tak źle, gdyby nie Fajger. Bo przecież żaden gospodarz nie przyjdzie korzystać z czyjegós nieszczęścia. Ale Fajger... Gdzie u żyda szukać sumienia. Posłał nawet sanie po komornika na stację.

A na dworze wciąż jeszcze szaleje śnieżyca.

Daleko, o trzy kilometry stąd, ulicą wsi idzie samotny człowiek. U boku, przy dużej torbie wisi gruby, sękaty kij. Zabrał go dziś niepotrzebnie, psy bowiem pochowały się dziś po kątach ciepłych izb.

On jednak idzie. Musi iść. Niepogoda? Mróz? Kto o to pyta! Wszyscy czekają na niego. Tym niesie radość, tamtym smutek. Jedni błogosławią go, inni mu złorzeczą.

Przystanął, zajrzał do torby i uśmiechnął się z zadowoleniem. Jeszcze tylko trzy listy. Tak, ale jeden do Brutkowskiej pod lasem. A potem jeszcze z tymi pieniędzmi na kolonię. Akurat dziś, w taką śnieżyce.

Zatrząsł się. Co to? Już trzeci raz dzisiaj. Głowa boli. W ustach jakiś dziwny posmak. Czy to tylko nie grypa?

Opiął się szczelniej płaszczem i poszedł. Doręczył dwa listy a teraz nie sie ostatni. Do Brutkowskiej pod lasem. Wieś kończy się. Droga wychodzi w otwarte pole i wznosi się ostro.

Listonosz dyszy i brnie w zaspach. Przemoczone buty ciężą, jakby były z ołowiu. Zmęczone nogi coraz trudniej wygrzebują się z zasp.

Przebył już połowę drogi. Dyszy ciężko, pokaszluje i coraz trudniej wygrzebuje się z zasp. Przystanął na zakręcie przy Bożej Męce i oparł się o ośnieżone opłotowanie. Musi odpocząć. Spod czapki bucha para, w płucach kłuje i pali, a tu jeszcze tyle drogi...

Otworzył torbę, nienawistnie wpatrzył się w list i... nagle oczy błysnęły dziwnie.

Tak, szkoda, że już tam we wsi nie pomyślał o tym. Nic się nie stanie, gdy Brutkowska dostanie list o jeden dzień później. Zresztą... nie pozna nawet, kiedy był nadany, bo stempel jest niewyraźny.

W urzędzie zaś powie, że... Głupstwo, nic nie powie. Naczelnik przecież nie zagląda do torby. Ostatecznie dla pewności schowa list do kieszeni, jutro zaś włoży do innych, jakby dopiero przyszedł.

Zagłębił rękę w torbie i zadrzał. Rumieniec oblał twarz. Tyle lat roznosił listy i nigdy tego nie zrobił. Dostał nawet medal za sumienne spełnianie obowiązków, a teraz...

No tak, kiedy... głowa boli... i tak jakoś ciemno robi się przed oczyma. Zresztą, będzie to ostatni raz. Pierwszy i jedyny. Nikt nie wie o tym i nikt nie widzi.



Niepogoda! Mróz! On iść musi... Tym niesie radość, tamtym smutek...

Chwył list i puścił natychmiast, jak rozpaloną płytę żelazną. Jednak ktoś widzi. Tam z góry i z krzyża, chociaż Go nie widać spod śniegu.

Listonosz stoi z zapartym oddechem, nieruchomo i z opuszczoną głową, jak spokojnie kradnący złodziej, którego nagle ktoś uchwycił na koźnier. Tylko serce wali głośno. I żar wstydu rozlewa się po twarzy i całym ciele.

Nagle zerwał się i prawie biegiem ruszył w stronę lasu. Po kwadransie zapukał w drzwi małego domku. Otworzyła mu młoda kobieta o smutnej, przedwcześnie pomarszczonej twarzy. Na skroniach srebrzyły się siwe nitki włosów, a z oczu wзираła jakiś zastygły ból. Obojętnie i nie patrząc nawet na niego, wzięła list i bez słowa zamknęła drzwi.

— Mumia egipska. Inni ludzie cieszą się, gdy się im przyniesie list, a ta jakby kawał drewna odbiera. I iść tu jeszcze do takiej, w śniegu i z gorączką — mruknął listonosz, wychodząc z ogródka.

Na drodze zatrzymał się. Tam na kolonie trzeba iść w prawo, do wsi zaś w lewo.

Rozmyśla. Może jednak zanieść im te pieniądze? Może potrzebują? E, głupstwo. Akurat dziś. Inni w ogóle nie otrzymują przekazów i też żyją. Gdyby to było blisko, ale aż trzy kilometry, stale pod górę i w śniegu. I do tego z gorączką i grypą! Nie, nie pójdzie. Trudno, zdrowie trzeba szanować. Powie naczelnikowi, że jest chory i dlatego nie poszedł. Poprosi o kilka dni urlopu, a przekaz jutro zanieś zastępcą.

Ruszył w stronę wsi. Nagle odwrócił się. Brutkowska wybiegła z domu i woła, by wrócił. Listonosz mruczy pod ośnieżonym wąsem, zawraca jednak i po chwili wchodzi do mieszkania.

— Czy może pan chwilę poczekać? Poczekać? Z gorączką i grypą? Czy jej się w głowie przewraca?

— Bo...
I po chwili listonosz wie już wszystko i rozumie wszystko. Rozumie tę młodą kobietę, jej stronienie od świata, te włosy siwe na skroniach, ból zastygły w oczach i tę radość nieopisaną, którą teraz błyskają.

...Żyli z sobą szczęśliwie. Całe cztery lata. Aż kiedyś... No, tak, sama

nie była też bez winy. Podejrzewała go zawsze o zdradę, wierząc podszeptom obcych. Robiła mu wymówki, aż kiedyś pojechał do miasta i nie wrócił. Zostawił ją z synkiem. Po miesiącu pisał, że chciałby wrócić. Ale nie może sobie tego potem darować. Napisała pół listu i podała. A on tymczasem rozpił się, stracił posadę i przepadł bez śladu. Aż teraz, po pół roku, ten list. Pisze, że ma do wyboru dwie prace: jedną blisko, w mieście, drugą zaś — daleko, na Śląsku w kopalni. Jeżeli mu przebaczy i pozwoli wrócić, przyjmie posadę tu w mieście. Do jutra wieczora jednak musi mieć odpowiedź, bo na tę posadę czekają inni.

Powiedziała wszystko już i prosto, szczerze, ze serca. A teraz pisze. O swoim cierpieniu, o nocach bezsennych, o modlitwach Jędrusia, by tatusiowi Bozia kazała wrócić, i o tym szczęściu ogromnym, które znowu odżyło. Czasem przerywa pisanie. Uśmiecha się do listu, przytula ręką główkę czteroletniego synka, chroniącego się przed groźnymi wąsiskami „pana listonosza”. Łzy spływają raz po raz na papier, tym wielkie i gorące. Nie wie jednak o tym. Bo nieraz nie czuje się własnych łez. Szczególnie tych wielkich i gorących.

Przy oknie siedzi listonosz. Przygląda się kobiecie, blażej twarzyczce chłopca i opuszcza głowę, jak człowiek, patrzący na beztronski uśmiech kogoś, którego przed chwilą chciał zepchnąć do przepaści.

Nie dowiedzą się o tym, że ich losy przed chwilą ważyły się tam, na skrzyżowaniu, przy Bożej Męce, że zapłaciłby męką całego życia za jedną chwilę jego załamania się i niesumienności. Tam, na Śląsku, przy żarze pieców zamęczałby się ktoś, kto daremnie czekał na przebaczenie, nie wiedząc, że gdzieś daleko, w domku pod lasem dwa serca opuszczone daremnie oczekują trzeciego.

Listonosz nieśmiało, jakby z lękiem spojrzął na godło pocztowe na czapce. Tak, to nie taka zwykła sobie rzecz ta torba listonosza. Tajemnice wielkie, losy swoje, a niekiedy i życie powierzają jej ludzie. I dlatego nie każdy może ją nosić.

— Proszę, niech idzie ekspresem — zbudził go radosny głos Bratkowskiej.

— Nie potrzeba. Zajdzie na czas. Głos dziwnie zadrzał przy ostatnich słowach.

— Tak, ja wiem, ale niech już idzie ekspresem. O te kilka groszy nie chodzi.

Czego nie dałaby teraz za to, by ten list zaszedł na czas!

Listonosz wydał resztę, nalepił znaczki i wyszedł. Na schodach zachwiał się. Wichura zatrzęsia nim, chlasnęła w twarz śniegiem i rzuciła na poręcz. W głowie zamęt.

Tak, to na pewno grypa. A tu jeszcze trzy kilometry na kolonie. Nie, nie pójdzie. Powie w urzędzie prawdę. Jest chory, ciężko chory. Nie doszedłby.

Wicher zadał silniej i rzucił mu czapkę. Poszedł po nią, otrzępuje z śniegu i nie może oderwać oczu od godła pocztowego, które błyszczy na otoku, czyste, nigdy nie skalane i patrzy na niego dumnie i twardo.

Śnieżycza szaleje. Wicher huczy, pędzi chmury śniegu, wpada w zaspę, rozrywa je, tworzy nowe i zawala nimi drogi i ścieżki.

Krańcem lasu, stromo pod górę wlece się chory listonosz. Utyka w zaspach, dyszy ciężko i kaszle. Wichura bawi się nim, rzuca jak piłką i tarza go w śniegu. Dźwiga się jednak. Ciężko, resztą sił i wlece się dalej. Jutro i może kilka tygodni przeleży w łóżku. Teraz jednak ma jeszcze służbę. Musi iść.

Do starych Balcerków, by zanieść 500 złotych, od Franka z Ameryki.

Mysli

1. Nie chwal nikogo w oczy, bo mądrymu to ubliża, a głupiego nadyma.
2. Jeżeli cię ludzie ganią za czyn chwalebny, nie zważaj na to; jeżeli cię chwalą, nie zważaj zarówno, ale bądź wytrwałym w dobrych sprawach.
3. Nie usprawiedliwiał się, jeżeli cię spoutwarzono; mądry nielatwo potwarzom uwierzy, a głupiego dobre lub złe mniemanie o nas na jedno wychodzi.
4. Zemsta nie szkodzi temu, przeciw komu jest wymierzona, ale temu, od kogo pochodzi.

Zebrał Stanisław Jachnik.

Konieczne wyjaśnienie.

W nrze 8 Przewodnika Katolickiego podaliśmy w Roli i Ogrodzie artykuł p. t.: „Rzadki siew. Poważne plony.” W rzeczywistości nie jest to rzadki siew, ale siew stosunkowo gęsty w t. zw. szerokie rzędy czyli pasy. Rzadkie siewy w dotychczasowym znaczeniu w naszym klimacie nie udało się.

Odpowiedzi Redakcji

Czytelniczka. Nam zależy na tym, aby oprawiać całe roczniki, nie tylko powieści. Choćbyśmy nawet chcieli, nie pozwalają nam na to względy techniczne.

Wielki Konkurs Jubileuszowy Drukarni i Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu. Sąd konkursowy zakończy swoje prace z wielkim prawdopodobieństwem do połowy marca. Wyniki będą ogłoszone także w Przewodniku Katolickim.

Wszystkim abonentom, stałym czytelnikom udziela Przewodnik Katolicki bezpłatnej porady prawnej.

Kurs kucia koni rozpocznie się w cywilnej szkole kucia koni w Krotoszynie od 14 marca 1938 r. Koszt 30 zł.

Kurs dla dojarz krów (pielegniarzy bydła) prowadzony będzie przez lekarza weterynarii i inspektorów Wielkopolskiej Izby Rolniczej oraz instruktora dojarzkiego. Celem kursu będzie zaznajomienie uczestników z zasadami prawidłowego doju, techniki żywienia i obsługi bydła, udzielanie zwierzętom pierwszej pomocy na wypadek zachorzenia i innymi czynnościami, które wchodzi w zakres obowiązków dojarza (pielegniarza bydła). Kurs trwać będzie

dwa tygodnie, a opłata łącznie z utrzymaniem i mieszkaniem wynosi 60 zł od osoby. Kandydatów na kurs zgłaszać należy do Wielkopolskiej Izby Rolniczej, Wydział Produkcji Zwierzęcej, w terminie do 7 marca 1938 r.

KTO pragnie przyjść z pomocą tym, co nie wyciągają ręk po jałmużnę i cierpią głód, niech wykupi bony obiadowe po 35 gr do kuchni KOMITETU TANICH KUCHEN im. Ks. Kard. Dalbora przy ul. Skarbowej 24. Bony nabywać można przy ul. Franciszka Ratajczaka nr. 26-7. Na żądanie przysłamy kursora z bonami.

Nowa Pieśń Pomorska

bardzo cenny nabytek dla chórów mieszanych: „Modlitwa Pomorzanki” w obecnej chmurnej chwili. Słowa „Modlitwy” ubrane są w piękną szatę muzyczną, odznaczają się świeżością pomysłów zarówno jeżeli chodzi o inwencję melodyjną, jak i o strukturę harmoniczną.

Cena 1 zł. Do nabycia: Probstowo Gostyńskie koło Tucholi — Pomorze.

„Wśród problemów szkoły i wychowania”. Poznań, 1937, str. 128 + VIII, cena 2.50 zł. Nakładem Archidiecezjalnego Instytutu Akcji Katolickiej w Poznaniu ukazał się

jeszcze w r. 1937 drukiem pamiętnik II Zjazdu Asystentów Kościelnych pt. „Wśród problemów szkoły i wychowania”. Książka zawiera cenny materiał dotyczący wychowawczej działalności duszpasterza w Akcji Katolickiej a w szczególności omawia sprawy polskiej szkoły i wychowania. Referaty poprzedza obszerna i głęboka przemowa J. Em. Księdza Kardynała Prymarza, wygłoszona na rozpoczęcie Zjazdu.

CHLEB DLA POLAKÓW!

W Krzemieńcu oraz w okolicznych miastach tego powiatu potrzebne są: akuszerka, blacharze, handlarze bydłem, czapnicy, dentyści, drogeria, skład drzewa budowlanego, fabryka wód gazowych, skład farb i przyborów malarskich, galerii damskiej, męskiej i przyborów wojskowych, artykułów sportowych, instalacja wodociągów, karmasznicy, krawcy, krawczyń, skład z obuwiami, owoców, piekarnicy, skład rowerów, wędliniarnie, rymarze, skład żelaza, naczyń kuchennych i narzędzi rolniczych, zegarmistrz, jubiler-grawer i wiele innych. Cały handel jest w rękach żydowskich, miasta zażydzone, poparcie społeczeństwa polskiego, wojska i okolicznych chłopów zapewnione.

Kilku malarzy pragnie osiedlić się na Kresach. Informacji udziela Wydział Akcji Gospodarczej Stronictwa Narodowego w Poznaniu przy ul. św. Marcina 65, m. 9, w godz. od 10—14 codziennie. Prosimy załączać tytułem opłat manipulacyjnych 1.— zł w znaczkach pocztowych. Niech żyje wielka Polska!

Adoracje N. S.

13. Wójcin i Potulice. 14. Czeszewo i Rogoźno. 15. Dziewierzewo i Skoki. 16. Grylewo i Wierzenica. 17. Kozielewo i Białcz. 18. Wągrowiec (Klaszt.) i Błociszewo. 19. Łekno i Bonikowo.

Zofia Kossak

POPIELNICE

POWIEŚĆ

5)

Po prawdzie, ich przyjazd miał wielkie znaczenie dla grodu. Wszystko co do życia i po śmierci potrzebne, umiano wyrabiać na miejscu. I odzież i obuwie i broń i wszelakie statki. Nawet ozdoby z brązu, kabłączki na skronie, naramienniki i piękne, niezbędne do ubioru szpile. Noże i sierpy, grotty do strzał, oszczepy, motyki, sochy. To wszystko robiono przednio. Któż lepiej niż ci rolnicy z ziemią zrosli mógł znać kształt lemiesza najodpowiedniejszego do orki? Albo wygięcie motyki? Nic nie było trzeba przywozić z dalekich zamorskich krain. Niemniej miło było kupców obaczyć, nakupić od nich nieznaną cenności, zobaczyć nowego kształtu zapy, świecące paciorki, srebrnym nabijane sztylety, pasy i luki. Kobiety aż drżały z ciekawości. Jakie tam nowe tkaniny barwione, jakie wzory i ozdoby?...

Nazajutrz rano przyszło poselstwo od kupców. Dwóch mężów i trzech pacholców. Lica mieli smagłe, włosy czarne, kędzierzawe, strój bogaty. Na głowach przybysze mieli krągłe, połyskliwe mycki, na nogach sandały skórzane, a tydy i golenie gołe. Broni nie posiadali żadnej, chyba ukrytą w zanadrzu. Okazywali bezbronne ramiona na znak, że zdrady nie chowają i nie jako napastnicy przychodzą. Wnet tłum ich otoczył i powiódł na plac, gdzie już się starsi zebrali dla wiecu.

Nic w siole nie mogło się stać bez uchwały wiecu. Na placu radnym siedziało już ze dwudziestu tych wiecowników, sami najstarsi. Nosili jak wszyscy lniane obleczenie, lniane długie gacie, brody mieli siwe jak kądziel, twarze zmarszczone i twarde niby ścięta gruda. Pomimo łaskawości słońca sierpniowego zatrzymali na głowach wielkie czapy baranie, a na ramionach kozuchy. Staremu nigdy dość ciepła, bo czuje już zimno grobu. Siedzieli milcząc. Mądrość ich polegała na długim życiu i doświadczeniu. Wypadki w ich przekonaniu nawracały z niezmienną kolejnością pór roku, przeto wystarczyło przypomnieć sobie przebieg dawnego zdarzenia, by wiedzieć, jak się odnieść do obecnego. W obliczu każdej nowiny milczeli długo, przypominając sobie, jak niegdyś postąpiono i zali to wypadło dobrze albo źle? Po-

tem zwlekali jeszcze z wyjaśnieniem swego zdania, nie spiesząc się, bo tylko młodym jest pilno.

Pośrodku koła siedzieli dwaj żerce, czyli wróże, star-

szy Świętoch i młodszy Żywoch. Na głowach sterczały dziwaczne czapy z brzo-zowej kory, wycinanej w znaki i ręby, w dłoniach dzierżyli wysokie laski w równe karby rzezane. Zabierali głos rzadko i skąpo, a jednak oni rozstrzy-gali o każdej rzeczy.

Kupcy nadeszli, towarzyszący im tłum stanął opodal. Przygasłymi oczami starcy patrzyli obojętnie na obcych. Ci mówili coś po swojemu głośno i dobitnie. Mowa ich brzmiała tak dziwnie i obco, że łatwiej byś wyrozumiał gęganie gęsi albo kruczenie żurawia. Rękami ukazywali na południe, to znów na północ, widno stamtąd przyszli, a tam się udawali. Pokazywali też, że chcą mieniać wszelkie rzeczy i że mają towaru wiele, wiele. Na koniec zmęczeni, umilkli, a starzy ciągle milczeli. Oglądali się zpode łba na Świętocha. Wróż niby od niechcenia upuścił laskę. Śledzono z zapartym oddechem, jak kij upadnie. Padł prosto w kierunku ognia. Dobry znak.

Stary Dobek odchrząknął przeto, przeżuł wyrazy, nareszcie rzekł głośno:

— Zezwolimy-li tym obcym mieniać się z nami?

— Zezwolimy — odparli chórem po-zostali.

— Tedy ich wiedźcie na plac.

Plac przeznaczony na targi leżał w pobliżu bramy Starszych, w kącie między wałem i drogą okrężną, a pierwszym rzędem chat. Był niewielki, dylami wyłożony. Wokoło leżały kłody, mające zastąpić stoły. Na tych kłodach przybysze, wjechawszy wozami, porozkładali przywiezione cuda. Ludzie cisnęli się tłumnie, aby je obejrzeć. Niektórzy ciągnęli już za sobą worki pełne skór, płótna, jantaru¹⁾, przeznaczonych na zamianę. Szczególnie jantar był przez obcych pożądany i wysoko ceniony, toteż na tych, co go posiadali, patrzono z zazdrością. Największy podziw wzbudzały broń i tkaniny. Którzy się nie mogli docisnąć, wzięli na wał, by z

góry spojierać. Strażnik Mier ścigał ich stamtąd za nogi, bo obsuwali ganek. Strażnik Mier chodził zły, powtarzając, że nierozważnie wiec uczynił, puszczając obcych do grodu. Niechby targowali za wałem na łące. Że mokro tam, nic nie szkodzi. Susza teraz i w tłoku o pożar w grodzie łatwo. Pożar. Przeraził się tej myśli i splunął trzykrotnie.

Gwar się wzrósł, cisza rosła. Miłosz Kruków trzymał w jednej dłoni sztylet z piękną rękojeścią, na drugiej ważył sporą bryłę bursztynu. Wahał się. Dać to za tamto? Taki piękny jantar! Niechby ten obcy dorzucił jeszcze choć szpilę... Taką, o, z łabędzią szyją...

Ale kupiec potrząsał przecząco głową. Ręce rozkładał, zapewniał o cności sztyletu. Dziabał nim kłodę i chuchał na ostrze. Nie dorzuci nic a nic.

Straż, cieśla, przyglądał się uważnie wozom. Chłopaki prawdę mówiły, że koła przy nich jakieś cudaczne, odmiennie. Nie z tarcic zbite, lecz z kołków złożone. Kołki jednym końcem siedzą w obręczy, drugim w piąście. Piasta toczy się na osi...

Korzystając, że nikt nań nie zważa, Straż podsadził się pod wóz, uniósł tył i obrócił koło. Aż go zatknęło, że tak lekko wiruje.

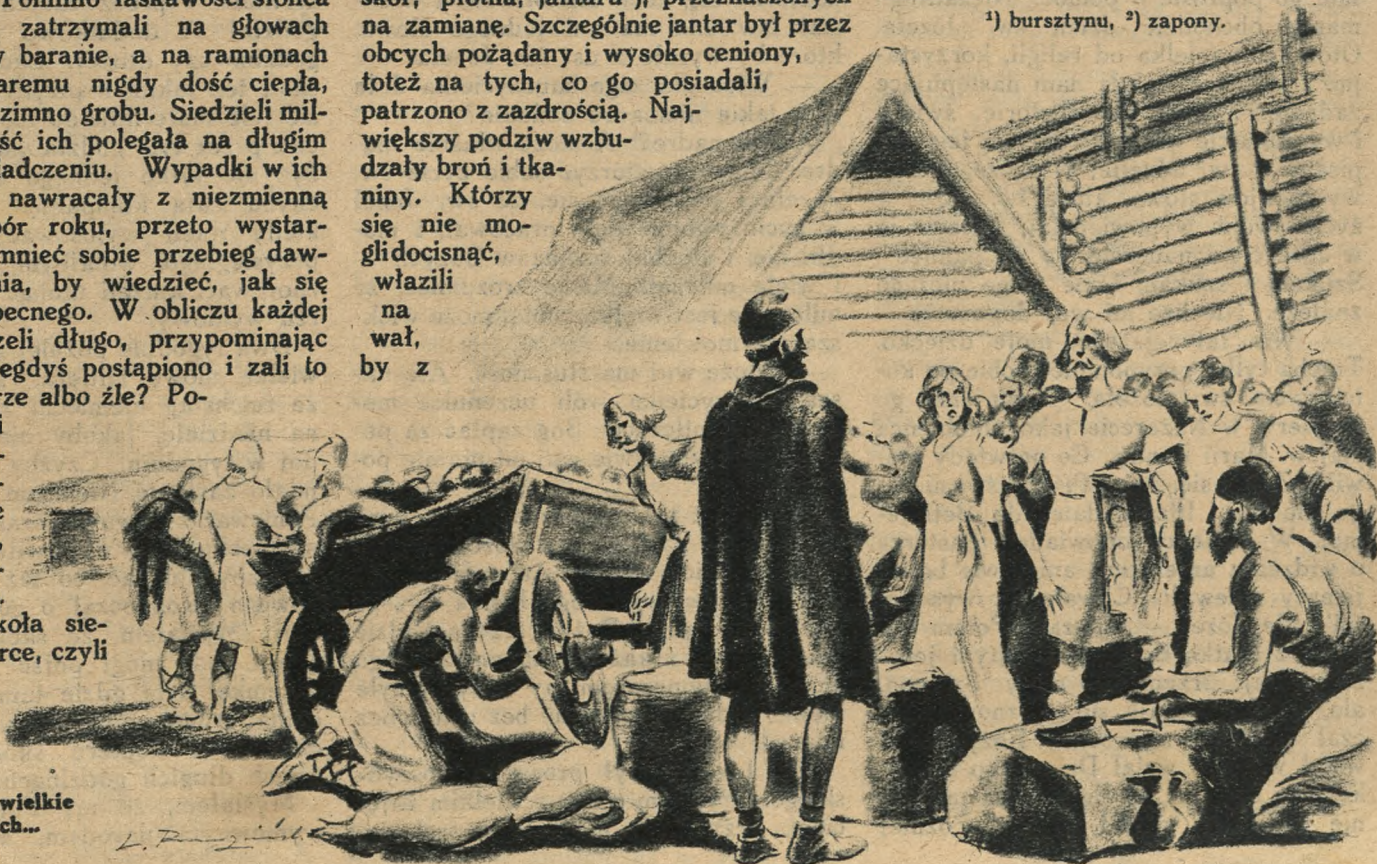
Wylazł spod wozu i otarł pot z czoła. Ani już spojrzął na porozkładane na kłodach błyskotki. Wiele go szpile i bugi²⁾ obchodzą! Wpatrywał się w koła niby urzeczony, pochłonięty zagadką ich budowy.

Chwost, bywalec, ów co swój dach poszył słomą, podszedł ku niemu.

— Koło — mruknął Straż bez dalszych objaśnień.

— Ano.

¹⁾ bursztynu, ²⁾ zapy.



- Obręcz jest wyginana...
- Nie zdolicie wygiąć tak samo?
- Bo ja wiem...

Straż, cieśla, zostaje przy wozach. Chwost idzie dalej. Za nim syn dźwiga pęk lśniących skór wydrznych i bobrowych, na które kupcy równie są prawie chciwi, co na jantary. Za młodym Chwostkiem Chwostowa żona i córka. Zachodzą z boku, spoglądają miłośernie to na gospodarza, to na porozkładane niewieście ozdoby. Wzdychają głośno, przełykają pożądliwie ślinę. Oj, żebyż im co kupić, żebyż! Szczególnie paciorki przyciągają oczy. Są połyskliwe, jak lód, i jak lód gładkie, są czerwone albo szafirowe. Nie wiedzieć z czego zrobione. Jeszcze tu nigdy takich nie widziano...

Chwost rozumie te westchnienia. Uspokojenie ma dobrodusze i pogodne, przy tym lubi, by ludzie wydziwiali, jaki to on hojny. Poczyna przeto targować paciorki. Kłóca się z kupcem. Ciągną ku sobie skóry, wyrrywają. Kupiec chce dziesięć. Chwost daje osiem. Kobiety czekają bez tchu.

Po długich targach wszystkie skóry, plon łowów ostatnich paru lat, przechodzą w ręce obcego, lecz Chwościna już wieśna na szyi paciorki, Chwostówna nawija na rękę miedziany naramiennik w kształcie węża, a młody i stary posiadli krótkie, piękne miecze. Obdarowane płaszczą w dłonie, leca z piskiem w tłum szukać znajomych, pokazać nowe bogactwo. Chwościna dłonią paciorki na szyi maca, wychwala w głos swego włódykę. Drugiego takiego nie ma na świecie, na całym. Sąsiadki

przyświadcują skwapliwie a głośno, by ich mężowie słyszeli.

Nie taki Pomłost, skórnik. Skapy, niedobry dziadyga. Upatrzył sobie pas kutę, z klamer od spodu wybijanych złożony i dusznie pragnie go mieć. Ale pozbywać się nie ma ochoty ni płótna, ni skór, ni jantaru. Stoi i myśli. Za nim trzy córki urodziwe, rosłe. Przyglądają się z żalem zamorskim cudnościom, ani marząc, by je kiedyś otrzymały. Nawet się nie odzywają niebogi. Wiedzą, że daremny trud.

Stoi Pomłost przy kłodzie, pas trzyma w rękę, na kupca spode łba spogląda. Myśli. Duma. Nagle obraca się, chwyta Bognę, średniaczkę, za ramię i przed siebie wysuwa. Wymownym ruchem ukazuje obcemu, że to za to. Tutaj pas, a tu dziewczyna.

Nie wiedząc, czego od niej chcą, Bogna patrzy na rodzica zdziwionymi oczami. Ale kupiec zrozumiał. Skubie z namysłem czarną kędzierzawą brodę. Byстрыmi ślepiami ogarnia wysoką postać dziewczyny, strzeliste barki, jasną długą kosę, rumiane, hoże policzki. Owszem, niczego niewolnica. Można przystać. Podszedłszy bliżej ogląda Bogny zęby, dłonie, stopy, jakby oglądał konia albo krowę. I nagle dziewczka pojmuje, co zaszło. Uderza w płacz przenikliwy. Matka jej odpowiada. Wyje jak zwierzę. Drze się do swojego dziecka. Piszczą w niebogłosy obie siostry pozostałe. Rozeźlony Pomłost jak nie skoczy, jak nie zdzieli kułakiem żony, córek! Jeśli im życie miłe, niech się uciszą, bo nie mieszkając wszystkie razem sprzeda!

Przerażone cofają się o parę kroków, płacząc po cichu, bezradnie. Bogna dygoce niby w zimnicy. Wargi jej zsiłniały. Łzy wielkie leca jak groch. Co się stało?! Co się dzieje?! Słoneczko święte błyszczy jak zwykle nad grodem i nad jeziorem, wokoło wesoły gwar, śmiechy, swojacy cisną się, kupczą, a ona już sprzedana... Już ją stąd zawiozą, zabiorą... Oj, wolejby ją utopili, jak Jastrunę, wolejby się nie rodziła!

Obojętnie, szorstko, kupiec pchnął nowy nabytek w tył ku wozom. Skinał na sługę, by niewolnicy spętał ręce i nogi dla pewności. Tu w tłumie mogłaby zbiec. Po czym nie zwraca już na nią najmniejszej uwagi. Stary Dobek przyszedł oglądać łuki i noże. Pomłost z zadowoleniem zapiął pas na lnianej świtce i chełpi się nim, wypinając brzuch.

Miłosz Kruków nareszcie postanowił. Rzucił kupcowi jantary, a sztylet zatknął za pas. Poglądził dłonią rękęję z zadowoleniem, przeplacił czy nie, piękna to broń! Miał jeszcze brylkę jantaru do wymiany, więc założywszy ręce w tył, jął przechadzać się oglądając rozłożone dziwa. Natknął się przy tym na Olszę. Sploniona, na poły przytomna z zachwytem, targowała cudną mieniącą tkaninę.

— Patrz, com kupić — rzekł do niej z przechwałką, pokazując sztylet.

— Oj lelum! — zawołała z zazdrością — oj lelum! A Chwost kupił swojej paciorki, paciorki... Anim myślała, że takie są na świecie... Strasznie drogie... Tyle bobrów! Ja mam tylko płótno... Garnków brać ten cudak nie

Cnota milczenia

Przyszła do mnie mała siostrzenica i przemówiła, jak następuje:

— Wuj jest taki mądry, więc chciałam go poprosić o pomoc. Niezadługo mamy obchodzić dzień św. Józefa. Otóż nauczycielka od religii, korzystając z tej okazji, dała nam następujące zadanie: „Otwórzcie Historię świętą i wyszukajcie wszystko co tam jest napisane o św. Józefie; w szczególności wyszukajcie słowa, które św. Józef w życiu swoim wypowiedział, spiszcie je w zeszyt i nauczcie się na pamięć”. Szukam i szukam i nie mogę niczego znaleźć. Niechże mi wuj dopomoże.

— Nic łatwiejszego, moje dziecko. Trzeba tylko przypomnieć sobie po kolei życie św. Józefa. Poznajemy go najpierw w Nazarecie jako oblubieńca Najsw. Marii Panny. Co on wtedy mówił? Zda się, że w Piśmie św. niczego nie ma. Idźmy dalej do Betlejem. W stajence opowiadali pasterze o widzeniu anielskim; aniołowie betlejemscy śpiewali „Chwała na wysokości”, ale Józef — milczał. Potem był Józef z Matką Boską w świątyni jerozolimskiej; przemówił stary Szymon, ale Józef — zda się — znowu milczał. Później na rozkaz Boży Józef wstał w nocy, wziął Dzieciątka i matkę jego i uciekł do Egiptu; na mówienie nie było nawet czasu. Później

wrócił do Ziemi św., do Nazaretu i tam dokonał świętego żywota w obecności Jezusa i Marii. Wierzę moje dziecko, zdaje mi się, że w Historii św. i w Piśmie św. nie ma ani jednego słowa, które by wyszło z ust św. Józefa.

— Więc dlaczego nauczycielka dała nam takie niemądre zadanie?

— Niemądre? A może właśnie mądre. Macie powtórzyć sobie życie św. Józefa i przekonać się, że św. Józef w życiu swoim wiele pracował, i modlił się, i słuchał rozkazów Bożych — i wiele milczał. Macie zrozumieć, że milczenie jest wielką cnotą, może większą niż mówienie.

— Może wuj ma słuszność. Ale nasza nauczycielka woli uczennice mówiące niż milczące. Bóg zapłać za pomoc, choć właściwie wuj mi nic nie pomógł.

— To już nie moja wina, tylko wina albo raczej zasługa św. Józefa.

Siostrzenica odeszła, a mnie przypomniła się przestroga Pisma św., że kiedyś na sądzie Bożym trzeba będzie zdać sprawę z każdego niepotrzebnego słowa. A tymczasem my wszyscy tyle nieraz gadamy i gadamy bez celu i bez miary.

We Lwowie był proces Doboszyńskiego. Czytałem o nim z wielkim zajęciem. Przy końcu miał mowę prokura-

tor. Gazeta donosiła, że prokurator przemawiał, popijał wodę, znowu przemawiał, zrobił przerwę i znowu przemawiał — przez całych bitych pięć godzin! A dodatkowo jeszcze przez godzinę czy dłużej. Ludzie najdrożsi, skąd też takim mądrym panom bierze się tyle materiału do mówienia. Przecież przez tyle godzin można by oskarżyć nie tylko jednego człowieka, ale chyba całą kompanię. Gdyby mnie kiedy mieli wylosować na sędziego przysięgłego, wołałbym przedtem zachorować, aniżeli utonąć w takim morzu wymowy.

Dwa tygodnie później zapowiedziano wielką mowę Hitlera. Dziwiło mnie, że reichstag niemiecki zwołał akurat na niedzielę, jakoby nie było innych dni w tygodniu. Czyżby słowo Hitlera miało zastąpić Niemcom słowo Boże? Ponieważ z dawnych czasów umiem po niemiecku, więc nastawiłem sobie głośnik, aby słuchać, co też Hitler powie nowego. Rozpoczął o godzinie pierwszej. Myślałem, że skończy do drugiej i będę mógł pójść na niedzielną drzemkę. Ale gdzie tam. Minęła godzina druga, minęła trzecia, nadeszła czwarta i dopiero skończył — po trzech długich godzinach.

Myślałem, że my Polacy jesteśmy wymownym narodem, ale widzę, że

chce, a na płótno powiada, że mało... Doloż, doloż! Żeby choć krzyneczkę tego płatu uciął, choć skraweczek, żebym się popatrzeć mogła!

Podsowała białe lniane płatki. Kupiec odrzucał ze wzdrganą głową potrząsał. Za mało. Olsza bliska była płaczu.

Nic nie mówiąc, myśliwiec wyjął z zanadru żółtą lśniącą bryłę i uniósł w dwu palcach niby dla zabawy. Słońce załamało się w niej promieniście.

— Elektron (grecka nazwa bursztynu) — rzekł kupiec z uznaniem. Wyciągnął rękę. Miłosz zwrócił się do Olszy:

— Prawili matka, że w domu braknie garnków. Wielu ich zrobisz, żebym ci to dał?

Olszonia, Olsza przypadła ku niemu. — Sokole! Wiele chcesz, zrobię! Wiele tylko matka zechce! I misę przyniosę, co na niej wypisałam ciebie za jeleniem goniącego...

— Mnie? — zdziwił się.

— Ciebie! Obaczysz! Na koniu siedzisz... Obaczysz! I garnek przyniosę, na którym są naszyjniki jak obcy miał w lesie, przy gaju... Marza prawi, że tylko na popielnicę zdatny, ale mnie się widzi, że bardzo piękny... Obaczysz! I kubki przyniosę i czarki...

— Naści tedy.

Dorzucił bursztyn do płótna. Zadowolony kupiec ciął już nożem błyszczącą powłokę. Olsza wstrzymywała dech. Spoglądała na Miłosza z taką wdzięcznością, że aż się roześmiała.

— Zdziałałaś mnie na misie? — zapytał.

— Ano. Jelenia też.

Niemcy też potrafią gadać długo i głośno. Czyżby to był skutek przyjaźni polsko-niemieckiej? Co prawda z mowy Hitlera nie dowiedziałem się żadnych nowości, toteż po trzech godzinach zamknąłem radio, zły, że mi Hitler zabrał drzemkę niedzielną i tyle prądu elektrycznego w radio.

Kilka dni później zapowiedziano mowę austriackiego kolegi Hitlera, kanclerza Schuschniggga. Myślałem sobie, Austriacy — to mili ludzie, więc zapewne kanclerz ich będzie miał więcej litości dla swych słuchaczy. Znowu się zawiodłem. Przemawiał bowiem przez całe dwie godziny.

Że też nasza Europa tak się rozgadała! A może jest to wpływ Ligi Narodów? Bo tamtejsi politycy to podobno nic nie robią tylko gadają, bankietują i znowu gadają bez końca.

Jedno mnie tylko dziwi: Że też narody są takie niemądre i pozwalają tak kpić ze siebie i wyciągać sobie pieniądze z kieszeni. Bo przecież cała ta polityka i dyplomacja genewska kosztuje wiele pieniędzy: jazdy i hotele i bankiety i pensje i liczne biura z licznymi urzędnikami i pannami.

A gdy Liga ma coś mądrego uradzić dla pokoju świata, to najpierw wygłasza się długie mowy, potem wybierze się komisję, potem podkomisję, potem ułoży się regulamin komisji, potem odroczy się wszystko do przyszłego razu, potem uchwalą się długą rezolucję. A

— I naszyjniki tych kupców? Którzy to byli? Są tutaj?

— Nie ma — odparła z przekonaniem. — Byli całkiem, całkiem inni.

Z nabożnym zachwytem ujęła odciętą materię i przytuliła do twarzy.

— Inni?! — zawołał z niepokojem Miłosz. — Sprawiedliwie gadasz?!

Uśmiechnęła się pokornie i radośnie.

— Tobież bym niesprawiedliwie gadała? To nie te ludzie. Na gębie nie byli czarni, czapki mieli z turzymi rogami i miecze...

Miłosz nachmurzył się i zmarszczył. Poprzednia wesołość jego znikła. Dotknął ponownie świeżo nabytego sztyletu.

— Trzeba o tym powiedzieć starszym — rzucił i odszedł pośpiesznie. Olsza patrzyła za nim, przyciskając oburącz do piersi powłokę. Jej! jakież to cudne! Jak szara i gruba i węzłowata widzi się przy tym jej lniana domowa szatka!

Nie łatwo znajdzie Miłosz starszych. Ścisł się wznaga. Nawet strażnik Mier, ogarnięty ogólną gorączką, przestał dawać baczenie na psowaczy wału i zamknawszy bramę, wmiszał się w tłum kupujących. Wrzawa bije w niebo, aż spłoszone ptactwo jeziorne kołuje z pisaniem nad grodem. Czajki jęczą. Żarłoczne kaczki spadły stadem na Strążową strzechę i mlóć zawzięcie suszące się proso. Oj, oberwież, oberwiecie cięgi mały Kurek! Pod wałem, wśród wozów związana, bezwładna, leży Pomłostówna Bogna, dziś z rana jeszcze gospodarska córka, teraz niewolnica. Szłocha, szłocha. Łzy spływają po dylach pomazanych gliną. Gdzieś z tłumu

odpowiada zawodzenie matki. I może czajki jęczą tak żałośnie, że się nad dziewczyną sprzedaną litują? Poza matką i czajkami nikt nie myśli o niebodze. Kto by myślał!? Targi! Targi! Nim słońce zajdzie, kupcy odjadą, bo na noc starszyzna nie pozwoli im pozostać w grodzie. Odjadą i nie wrócą aż znów za kilka lat. Więc trzeba się, trzeba, napatrzeć, nasycić, nadziwić, nachłonać obcego świata.

Rozdział IV

Obce światy

Dziwaczne wozy o kołach obracających się na osi, miast wraz z osią, skrzypiały głośno mimo smarowidła. Woźnica, niewolnik, w krótkim płowym chitonie (szata) z ostrzyżoną głową, siedział nisko na skraju wozu, tuż za końmi. Wyciągnawszy rękę mógł je poklepać po zadach. Dyszel, który zwrócił uwagę pastuchów był krótszy niż w wozach słowiańskich, zakończony rzeźbioną mosiężną główką. Za plecami woźnicy piętrzyły się juki z nabytymi i przeznaczonymi na sprzedaż przedmiotami. Wpółśród juków na wygodnych siedziśkach ułożonych ze zwojów materii oszytych w płótno, siedzieli trzej cudzoziemcy, kupcy, właściciele wozów i otaczających je ludzi. Opierali się wygodnie o wtórny szaniec tłumoków. Za tłumokami, wciśnięta w kął wozu, skurczona jak robak, leżała nabyta w grodzie niewolnica Bogna. Ręce miała wolne lecz nogi łańcuszkiem skute, a duszę stergłą z przerażenia i rozpaczy. (C. d. n.)

tyczasem wojna abisyńska się skończyła, Włosi zagarnęli Abisynię jak swoją, a czarny negus błąka się po świecie, szukając miejsca, gdzie mógłby osiąść na stare lata i odczytywać sobie mądre rady i pociechy i wyrazy współczucia, które otrzymał od Ligi Narodów.

Albo wojna chińsko-japońska. Żle mówię, przecież Japonia Chinom wojny nie wypowiedziała, jest to tylko próba nawiązania pokojowych i poprawnych stosunków między obydwojma krajami, a że przy tym pękają bomby, płoną miasta, giną żołnierze tysiącami, to tylko przez przypadek.

Chiny poprosiły Ligę o pomoc. Zjechali się dyplomaci w Brukseli (piękne miasto). Radzili, radzili i posłali list do Japonii, że ich wizyta w Chinach nie jest wcale grzeczna. „Pilnujcie swego nosa”, odpowiedzieli grzecznie Japończycy. I znowu radzili w Brukseli i napisali drugi list do Japończyków — z tym samym skutkiem. Wobec tego wyrazili Chińczykowi współczucie, że Japonia jest taka niegrzeczna i — pojechali do domu. A Chińczyk pozostał sam, dziwował się i otarł łzę z oka.

A gdy się panom genewskim Geneva znudzi, wtedy idą radzić gdzie indziej: do Rapallo albo Lokarno albo Stresy albo innych podobnych miejsc. A czyście kiedy, mili Czytelnicy, obejrzelі sobie te miasteczka w jakiej ilu-

stracji? Ho, ho, są to śliczne gniazda, położone nad błękitnym morzem albo nad pięknym jeziorem, pełne will i pałaców i drzew i kwiatów i winnic, z których dobre wino spuszcza się do butelek. Nie dziw, że obrady trwają tam tak długo i kończą się na niczym.

Gdyby to ode mnie zależało, to zwołałbym takie komisje międzynarodowe do Kiszkowa albo Ryczywołu albo Kamienia Koszyrskiego albo — Berezy. Jestem przekonany, że tam panowie delegaci rychło przestaliby radzić i gadać, a nauczyliby się milczeć i pracować dla dobra narodów i dla pokoju światowego.

Mam wrażenie, że i my Polacy potrafimy młócić językami jak cepami zapominając o mądrym przysłowiu, które głosi, że mówienie jest srebrem, lecz milczenie złotem.

O święty Józefie, wyproś nam cnotę milczenia w przeróżnych jej odmianach: milczenie męża wobec kaprysów żony; milczenie żony wobec złości męża; milczenie dzieci wobec starszych; milczenie chrześcijanina wobec doznanej krzywdy; milczenie, które, jest znakiem mądrości i źródłem pokoju.

Cnota milczenia, szczególnie w czasie wielkiego postu, niechaj będzie pokutą naszą za gadulstwo świata. Wobec tego odkładam na razie pióro i milczę.

SPRZEDAJEMY JAJA

Dochód uzyskany ze sprzedaży jaj w gospodarstwie jest bardziej poważną pozycją przychodową, niż by się było można spodziewać. Jaja najkorzystniej będzie odstawić do spółdzielni z wielu powodów, które kiedy indziej podam, obecnie tylko wspomnę, że w spółdzielni mamy zbyt zapewniony na cały rok bez względu na popyt jaj na rynku.

Jakie odkładać jaja do gospodarstwa domowego a jakie na sprzedaż? Przede wszystkim wszystkie lżejsze od 40 g pozostawmy dla siebie. Tak, bo jajko a jajko to różnica! Różnego kształtu, wielkości, barwie, świeżości itd. W handlu dobór jaj według wagi, barwy i innych charakterystycznych cech, nazywamy standaryzowaniem jaj. I takie jaja możemy sprzedać bez obawy zwrotu i marnej opinii za granicę.

Trzeba więc jaja do miast, do spółdzielni dostarczać całe, schludne, świeże, dorodne, niezbulgotane i z niestartą powłoką woskową.

Pamiętajmy więc! Jaja nie mogą być brudne, stare i zepsute. Aby do tego nie dopuścić dbajmy o gniazda kurze, aby były zawsze wymoszczone świeżą słomą i aby było ich pod dostatkiem dla danej liczby niosek. Bo w braku gniazd kury „gubią” jaja. Gdzieś po śmietnikach, w stodole znajdujemy niespodziewanie jaja,

kto wie jednak jak długo już tam leżały? Nie wysyłajmy więc takich na rynek, żeby nie zrobiły nam kiepskiej reklamy! Z gniazd wyjmujemy jaja dwa razy dziennie, jeśli to są gniazda t. zw. „zatraskowe”, z których po wejściu kura samodzielnie nie może się wydostać, notujemy na jaju nr kury i datę. Od wybitnie nieśnych kurek jaja chowamy do lęgów, od mniej pilnych przeznaczamy na sprzedaż. Przechowujemy jaja w miejscu czy-

stym, wolnym od wszelkich zapachów i chłodnym. Z tej przechowalni przynajmniej dwa razy na tydzień sprzedajemy je, aby zbyt długo nam nie leżały.

O ile chodzi o smak jaj, to się zdarza, że często kury znoszą jaja o przykłej woni. Powodem tego będzie nieodpowiednie żywienie i dopuszczanie drobiu do szukania pokarmu po śmietnikach i gnojówkach. Takie jaja prędzej też się psują. Tak samo jaje o wytartej powłoce woskowej prędzej ulega zepsuciu. O świeżości jaj sposobem domowym możemy przekonać się, rozpuszczając 150 g soli kuchennej w 1 litrze wody do których zanurzamy jaja. 1-dniowe opadają na dno, 3-dniowe wypływają pod powierzchnię, starsze zaczną wynurzać się ponad wodę. Jajo w tępych końcu posiada pustkę, t. zw. „komorę powietrzną”.

Im starsze, tym więcej białka wodniatego z niego wyparowało i tym obszerniejszą staje się ta „komora”. Jajo przez to staje się lżejsze i wypływa. Przy „prześwietlaniu”

również wielkość komory powietrznej zadecyduje o świeżości jaja. Prócz tego da się zauważyć, że starsze

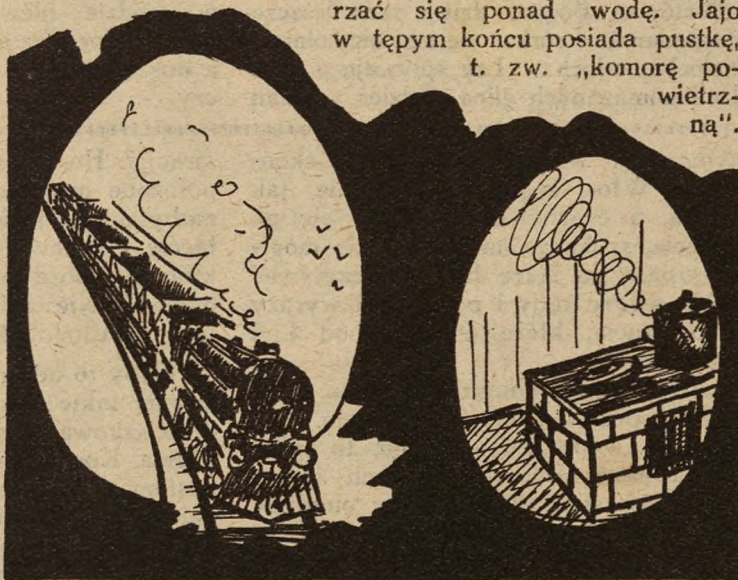
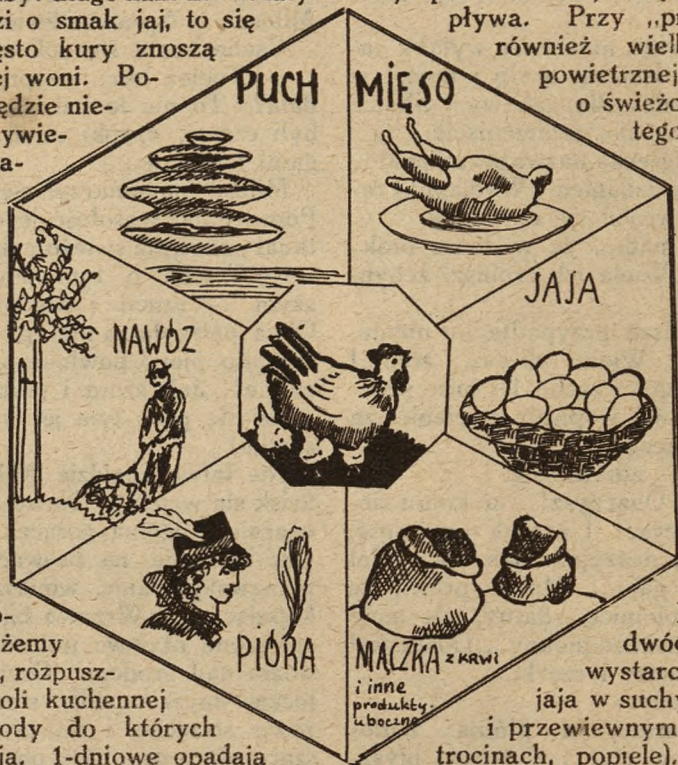
jajo przeświecone silnym światłem wykazuje ciemne i pełne płam wewnątrz.

Powinniśmy też zapoznać się z paroma sposobami przechowywania jaj.

I tak: na czas dwóch miesięcy wystarczy umieścić jaja w suchym, chłodnym i przewiewnym miejscu. (W trocinach, popiele). Dobrze też

jest posmarować skorupkę tłuszczem, przez co zatykamy pory i utrudniamy nie tylko parowanie, ale i przedostawaniu się do wnętrza drobnoustrojów, które powodują psucie się jaja. Pory te na skorupce są niewidoczne dla oka, a jest ich ogromna ilość. Pory te mają poważne zadanie dostarczania powietrza dla kłującego się pisklęcia. Najlepiej i najdłużej przechowują się jaja (6—8 miesięcy) zatopione w szkle wodnym. (Jedna miarka szkła na 10 miarek wody). Szkło takie można parokrotnie używać. Zatapiajmy jajka, gdy ich sporo posiadamy, w beczce, albo w garnku glinianym. Popularne przechowywanie jaj w wapnie (na 1000 jaj 7 kg wapna gaszonego i 700 g soli posiada tę niedogodność, że białko zielenieje, źle oddziela się od skorupki i używane jest dlatego jedynie do ciast.

K. Doering



Jajo dorodne, duże do zbytu. Jajo małe poniżej 40 g do kuchni

Krzewy

Popyt na maliny jest zawsze wielki. Owoce te chętnie są skupywane przez fabryki przetworów owocowych oraz przez gospodynie miejskie, które maliny przerabiają na doskonałe soki i marmeladki.

Krzew malinowy nie na wszystkich jednak glebach dobrze owocuje.

Dlatego na plantację malinową wybieramy ziemię żytńio-ziemniaczaną lub piaszczysto-gliniastą a nawet i piaszczystą — oby tylko dosyć wilgotną i żyzną.

Teren wybrany na plantację malin, winien być w jesieni dobrze wymie-



malinowe

rzwiony, zorany i przez zimę odleżały w ostrej skibie, a na wiosnę, gdy mróz popuści, należy teren zbronować i wyrównać włóka, po czym przystąpić można do sadzenia dobrej odmiany malin. Sadzenia dokonuje się w rzędy odległe od siebie o dwa metry a w rzędach sadi się pędy w odległości co pół metra.

Jeśli krzewy malin, mające być wysadzone, odbyły dłuższy transport, zaleca się wstawić je korzeniami do wody na 24 godziny. Sadzenia malin dokonuje się w ten sposób, że ko-

rzenie macza się w rozcieńczonej glinie z domieszką krowiego nawozu, po czym jedna osoba wykopuje łopatą dołek, a druga osoba, po zamoczeniu korzeni wkłada je w dołek, podtrzymuje krzaczek, by nie był umieszczony za głęboko lub za płytko, a ten, który wykopał dołek, obsypuje włożony weń krzaczek ziemią i udeptuje ją wokoło rośliny.

Przez pierwsze dwa lata, gdy krzewy malinowe są jeszcze rzadkie, można między rzędami sadzić ziemniaki, buraki, kapustę i t. p. rośliny, przy uprawie których ziemia nie zostanie chwastami. Nie wolno jednak zapominać, że przy uprawie międzyrzędowej ziemia wymaga składników pokarmowych dla głównej rośliny i dla międzyplonów.

W jesieni należy płytko przeorać ziemię między rzędami malin, po czym w czasie zimy lub wczesną wiosną trzeba rzędy oczyścić z suchych pędów i usunąć wszystkie boczne odrostki a sam krzew przeredzić pozostawiając w nim 5—7 najsilniejszych pędów.

Tych 5—7 pędów skracca się o mniej więcej 1/3 ich długości, to zn. przycina się je w miejscu, gdzie pęd się pochyla. Resztę pędów przycina się tuż przy ziemi.

Pierwszy obfity plon malin otrzymamy w 3-cim roku a plantację pozostawiamy na miejscu do 15 lat. Przeciętny plon z ha, przy dobrej pielęgnacji wynosi średnio 2500 kg.

Co trzy lata plantację zasilamy obornikiem w ilości 70 fur na ha, nawożąc

ziemię w jesieni i przekopując ją karczmem. Zamiast obornika stosować można nawóz pomocniczy w ilości 12 q kaimitu i 6 q supertomasyny w jesieni i 2 1/2 q saletry na wiosnę.

Przez cały czas trwania plantacji malin należy ziemię spulchniać i oczyszczać z chwastów.

Jak wiele innych krzewów, tak i maliny podlegają różnym chorobom roślin. Ażeby temu zapobiec, należy często przekopywać ziemię, niszczyć chwasty, usuwać i natychmiast palić wszelkie podejrzone pędy i opryskiwać krzewy 2 1/2% cieczą bordoską.

(e).

Z TYGODNIA: W Austrii niespokojnie

Czy zniknie „rozmach“ rąbania?

Sejm uchwalając budżet ograniczył wyrąb lasów państwowych do przeciętnej z okresu pięciu lat ubiegłych. Min. skarbu domagał się w komisji senackiej, aby ograniczenie senatorowie zniesli, gdyż skarb na ograniczonym, niższym wyrębie straci 20 milionów zł dochodu i powstanie niedobór. Min. rolnictwa twierdził, że nadleśnictwa mają plany 10-letnie, przewidujące, ile hektarów można wyrąbać. Otóż rąba się rocznie 10%, tymczasem zaś rosną drzewa w zagajnikach; gdy więc wyrąba się wszystko, po 100 latach jest nowa przesterżna zdadna do wyrębu. Nie potrzeba tedy się lękać, że przez wyręby dotychczasowe zniszczy się lasy. Komisja senacka uznała to i skreśliła ograniczenie, uchwalone przez sejm.

Hipoteki wiejskie

Sejm przyjął ustawę o ulgach i regulacji hipotecznej, w b. Królestwie i na Kresach nie ma powszechnej hipoteki. Ma ją tylko wielka własność i gospodarstwa scalone. Przeszkodą do zaprowadzenia hipoteki dla małych są wysokie opłaty stemplowe, sądowe, koszty planów itp. Ustawa obniża je, aby ułatwić drobnej własności wywołanie hipoteki.

Zjazd ludowców w Krakowie

nie przyniósł zmian w polityce Stronnictwa Ludowego, która pozostaje opozycyjną. Uchwał powziętych na zjeździe podawać nie wolno. Zaznaczył się wrogi stosunek ludowców do narodowców, a zycielwy dla p. p. s. i względny dla Stronnictwa Pracy. Były marszałek Rataj został okrzyknięty prezesem Stronnictwa. Wykluczono ze Stronnictwa b. posła Putka.

W tym miesiącu do Rzymu wyjechał na zaproszenie włoskie min. Beck.

Znikła dawna uraza Włoch

do Polski za to, że przystąpiliśmy mocą uchwały Ligi do bojkotu Włoch. Mussolini potrzebuje Polski. Zbliży się bowiem chwila, że państwa naddunajskie będą musiały zacząć współpracę gospodarczą i polityczną. Ani Włochy, ani Polska nie leżą nad Dunajem. Ale Mussolini nie może zamknąć oczu na to, co Niemcy zrobią w przyszłości z państwami naddunajskimi.

Niemcy pchają się gwałtownie na południowy wschód z maszynami i węglem: do Bułgarii 80% maszyn przychodzi z Niemiec, na Węgry 70%, do Jugosławii 50%. Przywóz węgla niemieckiego do Austrii wzrósł w ciągu 3 lat o 100% (naszym kosztem!), na Węgry wzrósł o 300%, do Jugosławii i Grecji o 500%. Za pochodem gospodarczym Niemiec kroczy pochód polityczny. Na Węgrzech ruch hitlerow-

ski rośnie, zwraca się on nawet przeciw Zjazdowi Eucharystycznemu!

W walce z Niemcami

Włochy byłyby odosobnione.

Ani Francja, ani Anglia, ani żadne inne państwo nie broniloby — prócz może Jugosławii — Włoch od najazdu niemieckiego. Tak więc Mussolini zawczasu szuka przyjaznego i wiernego towarzysza do obrony równowagi politycznej nad Dunajem. Tym towarzyszem ma być Polska. Polska żyje w przyjaźni z Węgrami, Węgry miały nieraz dalekie obietnice poparcia swych żądań granicznych od Italii. Te trzy państwa stanowiłyby niejako przeciwagę Niemcom, gdyby Hitler chciał narzucić państwu naddunajskim swoje cele. Mówiliśmy dotąd o Węgrzech. Ale czy Włochy wyrzekły się cichej opieki nad Austrią? Największym niebezpieczeństwem dla Austrii nie jest Hitler, lecz rodzimy, austriacki hitleryzm, dość poważny w dwóch wielkich miastach: Wiedniu i Gracu, gdzie wybuchły rozruchy hitlerowskie. Gdyby większość ludności austriackiej opowiedziała się za Hitlerem, Włochy musiałyby się wyrzec obrony niepodległej Austrii. Obecnie ruch hitlerowski na-

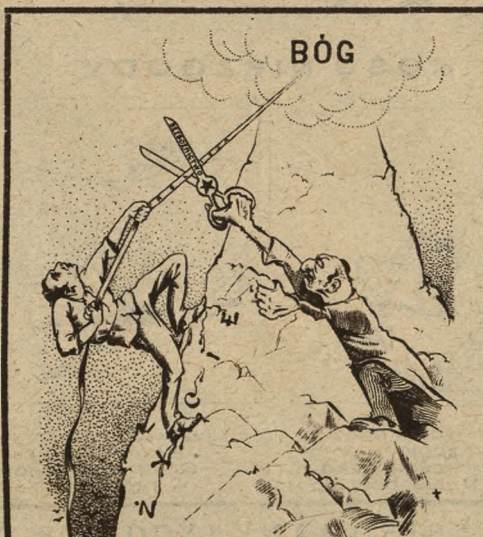
potkał (nareszcie!) na silniejszy opór Frontu Ojczyźnianego. Na ulicach Wiednia pojawiły się szturmowe oddziały Frontu. Związki zawodowe wystąpiły pisma pokryte tysiącami podpisów do Schuschnigga, że chcą żyć w wolnej Austrii. Schuschnigg robotnikom idzie na rękę: ministrem pracy jest były socjalista. Na chłopach i robotnikach, na katolikach, oprzeć się chce Schuschnigg, gdy znaczna część młodzieży inteligentniej uległa urokowi Hitlera. Skoro Austria wykazuje wolę do życia niepodległego, to Włochy nie chcą przedwcześnie kłaść krzyżyka na Austrii. A Francja stawia sprawę całkiem wyraźnie. Francuski min. spraw zagranicznych Delbos powiedział w sejmie: „Niepodległość Austrii jest koniecznością“. Francja nie godzi się na przewagę Niemiec nad Dunajem.

W polityce włoskiej jednak

nie wszystko jest jasne.

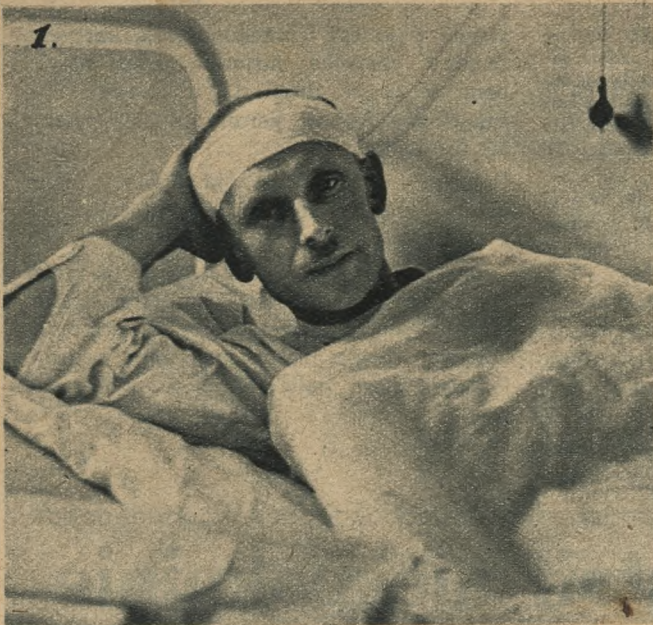
I tak nie wiadomo, czy Włochy szczerze pragną się pogodzić z Anglią, czy też udają pojednawczość. Nie wie tego sam Chamberlain, skory do układów z Mussolinim. Gdyby Włochy pogodziły się z Anglią, Hitler musiałby wyrzec się najazdu na Austrię, bo Włochy miałyby na lądzie ręce wolne. Ale możliwe, iż Włochy udają pojednawczość względem Anglii, onieśmielając Hitlera, dając mu przestrożę, by nie liczył na odosobnienie i co za tym idzie na osłabienie Włoch. Czy Włochy postępują szczerze lub chytrze, zawsze to się obraca na korzyść niepodległości Austrii, przynajmniej chwilowo. Najżywotniejsze interesy włoskie tkwią jednak, jak pisaliśmy nieraz, na morzu Śródziemnym i w Afryce. Podbiwszy Abisynię, Włochy pragną mieć do niej wolny — każdej chwili politycznej — dostęp morski. Otóż po drodze kanał Sueski jest pod strażą angielską. Według pogłosek Włochy żądają zniesienia tej straży; straż angielską zastąpiłaby straż egipska, a z Egiptem Włochy sobie poradzą. Włochy urzędowo zaprzeczają tym pogłoskom, które jednak mają jądro prawdy.

Umarł ś. p. Władysław Grabski (64 lata), b. premier i minister skarbu. Zaprowadził złoto i założył Bank Polski.



*Z pomocą religii, strumą ścieżką życia
Pniez się ku szczytowi, gdzie króluj
Bóg;*

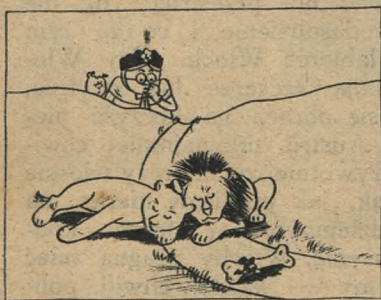
*Bezbożność nożyce wysuwa z ukrycia,
Tnie zbawczą twą linę... Spojrz, kto
jest ten wróg!*



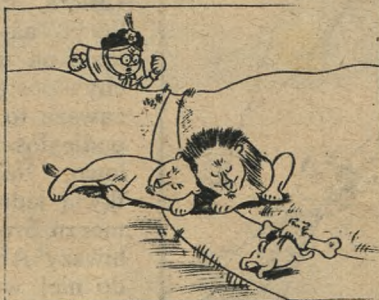
1. Fraciszek Krawczyński, kościelnik z Lubonia, który biegnąc na pomoc mordercom s. p. ks. Stan. Streichowi został trafiony dwoma kulami na szczęście powierzchownie w prawą skroń i w prawe ramię. W szpitalu miejskim w Poznaniu, dokąd go przewieziono wraz z ranionym chłopcem Pacyńskim, odwiedził rannych J. Em. Ks. Kardynał Prymas. Fot. Alejnik, Poznań.
2. W dniach 24 i 25 lutego odbył się w Warszawie Zjazd Prasy Katolickiej. Zdjęcie ze sali obrad. W pierwszym rzędzie siedzą od prawej J. Eksc. Ks. Bp. Gawlina, J. Em. Ks. Kardynał Kakowski i J. Eksc. Ks. Bp. Radoński z Włocławka. Fot. Ryś, Warszawa.
3. W dniach 24 i 25 II. b. r. odbyło się w Białowieży reprezentacyjne polowanie z udziałem p. Prezydenta Rąplitej i marsz. Goeringa. Goering przy zabitym przez siebie dziku. Fot. Pikiel, Warszawa.
4. Dzik w ucieczce przed celnym strzałem marsz. Goeringa. Fot. Pikiel, Warszawa.



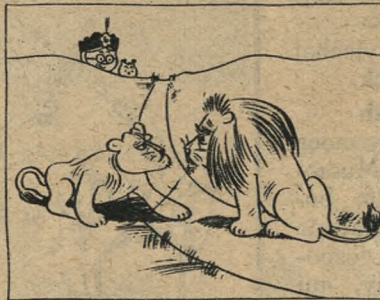
KOŚĆ NIEZGODY



W wędrowce po pustyni
Miałam raz strachu dość:
Lwów para śpi na drodze,
Przed nimi leży kość.



Nie miałam wcale chęci
Ulatwiać zbójom mord;
Wskazałam kość pleskowi:
— Hop, Moluś, hop! Aport!



Już wiem, co dalej będzie:
„Skończyły drzemkę lwy;
— Gdzie kość? — lew pyta lwicy.
— Tyś zjadła! — Nie! To ty!



Pomruki przeszły w ryki,
Ryki w zajądły bój;
Ja miałam wolną drogę,
A Moluś miał łup swój.

„PRZEWODNIK KATOLICKI” ILUSTROWANY TYGODNIK DLA RODZIN KATOLICKICH

z bezpłatnym dodatkiem dla dzieci „MAŁY PRZEWODNIK” oraz z osobnymi działami „ROLA I OGRÓD” i „SPRAWY KOBIECE”.

Przedpłata kwartalna wynosi za egzemplarze osobiście odbierane w ekspedycji naszego pisma i agencjach poznańskich 1,70 zł. Za egz. wysyłane wprost z Administracji w opasce pod adresem imiennym, w ilościach od 1 do 9 egz. po 2,40 zł, od 10 do 59 egz. po 2,20 zł, od 60 egz. wzwyż po 1,90 zł za egz. — Dla abonentów pocztowych (bez opaski) przedpłata kwartalna wynosi 2,30 zł, miesięczna 80 groszy, łącznie z kosztami manipulacyjnymi.

Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr 206 084 „Przewodnik Katolicki”. Konto pocztowego obrotu rozrachunkowego: Poznań III, nr 014.

W sprawach dotyczących rękopisów i w sprawach redakcyjnych prosimy zwracać się wyłącznie do Redakcji, w sprawach odnoszących się do przedpłaty, ekspedycji, pokrycia należności oraz ogłoszeń — wyłącznie do Administracji „Przewodnika Katolickiego” w Poznaniu, Al. Marcinkowskiego 22, nie zaś pod osobistym adresem X. Redaktora.

Redaktor odpowiedzialny: mgr Stanisław Krokowski w Poznaniu. — Za reklamy odpowiedzialny: Ignacy Domański w Poznaniu.

W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajków i t. p. wydawnictwo nie odpowiada za regularne dostarczanie pisma i abonenci nie mają prawa domagać się niedostarczonych numerów lub odszkodowania. Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu — na papierze z własnej fabryki „Malta”.
Telefony 26 78, 22 41, 36 13, 36 14, 31 27